Stron 8 | Str. 4 i 5: KOSCIOŁ ROSYJSKI W SŁUZBIE PANSTWA. – „WYŻSZOŚĆ SOWIECKIEGO CZŁOWIEKA" | Cena 1 sh

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

Rok IV. | Londyn, niedziela 23 lipca 1950 | Nr. 30 (161)

X. STANISŁAW WAWRYN T.J.

SENS POROZUMIENIA MIĘDZY PAŃSTWEM A KOŚCIOŁEM

Aby sobie wyrobić właściwe zdanie o tak doniosłym wydarzeniu jak układ, zawarty przez Episkopat Polski z reżymem komunistycznym, trzeba przede wszystkim znać katolicką opinię Kraju. Dlatego drukujemy poniżej artykuł X. St. Wawryna na ten temat. Artykuł ten znajduje się w ostatnim majowym numerze znakomitego miesięcznika Jezuitów polskich „Przegląd Powszechny".

RED.

UWAGI niniejsze nie stanowią komentarza do aktu porozumienia. Są tylko chęcią spojrzenia na nie z punktu widzenia katolickiego i nieśmiałą próbą wniknięcia w istotę powyższego układu.

1. TRUDNE ZADANIE

Naturalnie, kto chce zrozumieć ten niezwykłej doniosłości układ, musi wpierw jasno zdać sobie sprawę z charakteru kontrahentów, którzy go zawarli, i okoliczności, w jakich powstał. Otóż nie ulega wątpliwości, że w tym akcie spotkały się, rzec można, po raz pierwszy w historii — reprezentowane przez rząd R. P. i Polski Episkopat — dwie instytucje diametralnie różne, zarówno doktryną i ideologią, jakie wyznają, jak i celami ,którym służą. Z jednej strony instytucja na wskroś religijna, nadprzyrodzona i powszechna, o spiritualistycznym poglądzie na świat i ewangelicznej absolutnej etyce, umieszczająca ostateczne szczęście człowieka w pozaziemskim, wiecznym niebie — a z drugiej instytucja na wskroś ziemska, ateistyczna, o materialistycznym poglądzie na świat i o względnej, ewolucji podlegającej etyce, a upatrująca szczęście ludzi w doczesnym życiu.

Marksistowska rewolucja nie należy do ruchów słabych, które łatwo ustępują wobec przeszkód, lecz raczej do tych, które w swych metodach działania liczą się tylko z realną siłą i z faktami. Nie uznaje ona praw, których sama nie stworzyła lub komuś nie przyznała. Ma ambicję urządzenia „starego" świata na nową, własną modłę.

Obóz marksistów, działający od szeregu lat i w Polsce, nie mógł nie spotkać na swej drodze Chrystusowego Kościoła. I podjął z nim wnet rozmowy, ale nie wprost ze Stolicą Świętą, — z którą zerwał stosunki dyplomatyczne wypowiadając konkordat — lecz z przebywającym pod jego władzą w kraju Episkopatem.

Episkopat nasz, rzecz jasna, nie był do tego rodzaju pertraktacyj przygotowany, musiał spełniać bardzo trudną rolę a to dla wielu przyczyn. Po pierwsze dlatego, że zwykle rządy państw takie pertraktacje prowadzą z najwyższą władzą Kościoła. Po wtóre dlatego, że wbrew głoszonej zasadzie, iż „religia jest rzeczą prywatną", omawiać trzeba było najbardziej kapitalne zagadnienia życia religijnego, owszem całokształt spraw dotyczących stosunku Kościoła i Państwa. Po trzecie dlatego, że punktem wyjścia dla wspólnych obrad nie było Prawo Kanoniczne, ani konkordat z 1925 roku, czy dotychczasowy stan prawny, lecz faktyczna, nowa rzeczywistość. Po czwarte dlatego, że dla zawarcia w tych warunkach układu tylko z trudem czerpać mógł Episkopat wzory z innych krajów, traktaty zaś dawne lub inne współczesne okazały się w tym względzie mało instruktywne lub zgoła nieprzydatne. A trudność sytuacji pogłębiały jeszcze wybuchające co pewien czas konflikty, zwłaszcza zaś znany obrót sprawy „Caritasu".

Nie trzeba się więc temu wcale dziwić, że wielu ludzi bliżej nawet w sprawie zorientowanych skłonnych było uważać samą próbę porozumienia Państwa z Kościołem za pomysł nieomal paradoksalny i do realizacji niepodobny — za istną kwadraturę koła!

II. CO UMOŻLIWIŁO POROZUMIENIE?

Jeśli tedy na przekór wszystkiemu porozumienie stało się faktem i to faktem niezwykłej wagi, a jak skądinąd wiadomo, bez precedensu — to istnieć niezawodnie musiały jakieś czynniki, które stworzyły szczególny klimat, zawarciu tego aktu sprzyjający.

Po stronie Państwa:

1. Obóz marksistowski w Polsce — podnieść to wypada z uznaniem — już przy pierwszych zetknięciach się z katolicyzmem zrozumiał, że Kościół katolicki nie jest jakąś zwykłą instytucją, którą można by zlekceważyć i pominąć lub po prostu poza nawias rozgrywającej się rzeczywistości usunąć. I że nie jest on nawet jednym z religijnych wyznań, które Państwo mogłoby do woli i na własną modłę kształtować. Wśród marksistów nie brak było trzeźwych polityków, którzy musieli zauważyć, iż katolicyzm to nie tylko składnik narodowej tradycji ale i sprawa duszy i sumienia wielu Polaków. Zatem jako realiści stanęli na gruncie pogodzenia się z jego istnieniem oraz uznania jego odrębności organizacyjnej i odrębnej władzy. Owszem, nie utrzymali się nawet na stanowisku rozdziału Kościoła i Państwa, przeciwnie zaproponowali, aby Państwo zawarło z Kościołem publiczne porozumienie i ułożyło z nim nowe stosunki prawne.

2. Co więcej, przystępując do wspólnych obrad, przedstawiciele Państwa wyłączyli z nich zasadniczo i a limine zagadnienia światopoglądowe i doktrynalne. Nie stanęli na stanowisku zasady: Cuius regio, eius religio — dzięki czemu w pertraktacjach uniknięto długich i bezowocnych sporów. Jest to moment szczęśliwy i nowy objaw roztropności, który chętnie podkreślamy. W czasie obrad nie czyniono przetargów z zasad ideologicznych. Żadna z układających się stron nie próbowała „nawracać" drugiej. Każda została przy własnym „credo" i uszanowała „credo" strony przeciwnej.

3. Oprócz uznania Kościoła i poręczenia jego organizacyjnej autonomii, reprezentanci rządowi poszli w toku obrad na inne jeszcze ustępstwa na rzecz Kościoła, które dają mu porękę prawną na prowadzenie najbardziej zasadniczych funkcji religijnych i duszpasterskich. Koncesje te określają bliżej punkty 10 — 19 zawartego porozumienia, końcowe punkty podpisanego protokołu i aneksy.

Po stronie Kościoła:

1. Stolica Święta zgodziła się na podjęcie przez Episkopat Polski rozmów z Rządem celem zdrowego ułożenia wzajemnych stosunków między Kościołem a Państwem. Nie znaczy to jeszcze wcale, aby zawarte w wyniku obrad porozumienie stało się eo ipso konkordatem. Ale jest rzeczą jasną, że powyższy układ nie został zawarty wbrew Stolicy Apostolskiej i że Ojcu św. leżało na sercu pokojowe załatwienie stosunków religijnych w Polsce.

2. Po stronie katolickiej największą trudność do zawarcia układu stanowiła bez wątpienia znana troska o zachowanie całkowitej niezależności duchowej Kościoła i o niemieszanie się duchowieństwa do spraw partyjnych i rozgrywek politycznych w kraju. Kościół bowiem mając sobie zleconą przez Chrystusa troskę o wszystkich wiernych nie może się wiązać z jedną grupą polityczną przeciwko innym, a tym mniej jeszcze nie może stawać bez reszty po stronie jednej partii politycznej, choćby nawet sprawowała ona aktualnie rządy kraju. Że i w obecnej sytuacji tej podstawowej troski o swą duchową niezależność Kościół nie mógł się wyrzec, to rzecz całkiem zrozumiała. — Z drugiej jednak strony marksistowski obóz rządowy, pytając w myśl zasady „do ut des": Co mi dajecie? — zażądał od Episkopatu ustępstw nie innych, lecz tych właśnie, które odnoszą się do spraw natury politycznej lub do politycznej zbliżonych. Nie doceniając wartości religijnych i duchowych, nie zadowolił się tym, co Kościół daje Państwu przez sam fakt swego istnienia i spełnianie właściwej sobie działalności duszpasterskiej. Za jedynie realne i wartościowe dla siebie uważał poparcie okazane sobie w realizacji własnych planów politycznych i gospodarczo-społecznych. Tylko takie poparcie uważał za właściwą

ZAOSTRZENIE EKSKOMUNIKI

DEKRET Kongregacji Soboru z dnia 29 czerwca 1950 r. nosi tytuł: O kanonicznym nadawaniu i powierzaniu beneficjów kościelnych". W treści swojej jest on jednak szerszy, gdyż dotyczy nie tylko wymienionej w tytule sprawy, lecz również sprawy innej, znacznie ważniejszej, mianowicie: „machinacji przeciwko władzom kościelnym".

We wstępie Dekret przypomina dzieje ustawodawstwa w tych przedmiotach, cytując wśród historycznych pomników prawa m.i. i Dekret Soboru Trydenckiego, w którym ludzie, bezprawnie obejmujący urzędy kościelne, nazwani są **„złodziejami i łotrami"**. Wylicza też obowiązujące w tych sprawach Kanony Kodeksu Benedykta XV-go. Ten wstęp ma wyraźnie na celu podkreślenie wagi, jaką Stolica Apostolska przywiązuje obecnie do tych dwóch przestępstw: bezprawnego obejmowania urzędów i machinacji przeciwko władzom kościelnym.

Czyny te były oddawna uznane za przestępstwa. Obejmowanie urzędów kościelnych bez kanonicznej prowizji jest przestępstwem znanym pod nazwą **„intruzji"**; machinacje przeciwko prawowitym władzom kościelnym określane są jako „konspiracja". Oba te przestępstwa zaczęły się powtarzać za żelazną kurtyną. Doszło nawet do bezprawnego objęcia biskupstwa (w Bańskiej Bystrzycy, na Słowaczyźnie) — objawy zaś działania przeciwko władzom kościelnym, t.j. konspiracji, nawet ze strony kleru, miały również miejsce (np. w Polsce, w sprawie Caritas'u).

Jednakże obecny Dekret nie ogranicza się do przypomnienia o karach grożących intruzom i konspiratorom: stanowi on nowe prawo, zaostrzające dotychczasowe kary. Według Kan. 2394 i 2331, par. 2., intruzi i konspiratorzy podlegali karom, jakie mógł w każdym wypadku wymierzyć im biskup. Obecnie podlegają oni ekskomunice, w którą wpadają przez sam fakt popełnienia czynu, a którą może z nich zdjąć tylko Stolica Apostolska. Nową jest rzeczą rozciągnięcie tej samej kary na wszystkich współdziałających.

Zasługują również na uwagę nowe określenia przestępstwa konspiracji, które w nowym Dekrecie zostały rozszerzone i obejmują czyny, popełnione niekoniecznie w zmowie z innymi, lecz mające charakter „machinacji" i skierowane nie tylko przeciw Papieżowi, jego wysłańcom i własnemu biskupowi — ale wogóle przeciwko „prawowitym władzom kościelnym".

Nie ulega wątpliwości, że Dekret Kongregacji Soboru jest w związku z objawami zaniku solidarności i dyscypliny w Kościele za żelazną kurtyną.

W ostatnich kilku miesiącach reżymy komunistyczne w krajach satelickich usiłują oderwać katolików od Rzymu i stworzyć schizmę dla celów politycznych. Reżymy usiłują dokonać tego przy pomocy terroru, aresztowań duchowieństwa i świeckich katolików, przy pomocy okrutnych procesów pokazowych, przekupstwa, odrywania od Kościoła instytucji kościelnych i zamieniania ich na „wolne związki katolików świeckich", niezależne od Stolicy św. ani od Hierarchii kościelnej. Do tych instytucji komuniści wyznaczają ludzi na kierownicze stanowiska, a nawet zmuszają księży do przyjmowania urzędów w kościelnych organizacjach, oderwanych od Hierarchii. Kłamliwa propaganda usiłuje przy tym obałamucić ludzi, przedstawiając z jednej strony Papieża i biskupów jako imperialistów i feudalistów, a z drugiej strony usiłując wmówić ludziom, że władze rządowe nie niszczą organizacji kościelnych, a jedynie usuwają nieodpowiednich kierowników i naznaczają ludzi, którzy dają gwarancję postępowania zgodnie z interesami „demokracji ludowych".

Zaostrzenie dekretu o ekskomunice stawia sprawę zupełnie jasno. Widzialną głową Kościoła Katolickiego jest Papież jako następca św. Piotra. W porozumieniu z nim działają biskupi i kapłani. Ktokolwiek uzurpuje sobie misję w Kościele lub w katolickich organizacjach bez zgody odpowiednich władz kościelnych i wbrew przepisom prawa kanonicznego, albo też ktokolwiek przyjmuje taką misję od władzy świeckiej, wpada w ekskomunikę zarezerwowaną Stolicy św. Równocześnie ekskomunika stosuje się do tych wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób działają przeciwko legalnym władzom kościelnym lub podważają ich autorytet. Dekret ten odnosi się tak do duchownych jak i świeckich katolików.

Ogłoszenie tego dekretu w wielu językach krajów żelaznej kurtyny świadczy o tym, że Kongregacja postanowiła zdjąć obowiązek ogłaszania tego dekretu przez poszczególnych biskupów, którzy w krajach komunistycznych znajdują się nieraz w niezwykle ciążkim położeniu osobistym, niejednokrotnie nie mogą się komunikować ze swymi kapłanami, nie mówiąc już o niemożności pisemnego ogłoszenia takiego dekretu lub podania go do publicznej wiadomości. Ekskomunikowane osoby, o ile się nie nawrócą, nie mogą przyjmować lub udzielać Sakramentów św., ani też nie mogą być grzebane w poświęconej zieni. lub na katolickim cmentarzu.

W stosunku do Polski wydaje się, że dekretem tym byłyby objęte grupy księży i świeckich katolików, którzy przyjęli urzędy w zagarniętych przez państwo organizacjach kościelnych jak „Caritas", którzy pełnią funkcje katechetów lub kapelanów bez pozwolenia swych biskupów, którzy biorą udział w zjazdach, gdzie się atakuje i poniża Ojca św. i Hierarchię kościelną, którzy piszą w takich gazetach pseudokościelnych jak „Głos Kapłana", gdzie się atakuje i podważa autorytet Ojca św., biskupów i legalnych władz kościelnych, a nakłania ludzi do przyjmowania rozkazów w sprawach kościelnych od władz świeckich.

cenę, za którą mógł Kościół uzyskać prawną porękę dla swej niezależności i możności spełniania właściwych sobie zadań. Z punktu widzenia obozu marksistowskiego jest to postulat zrozumiały — a jego przyjęcie zapewnia mu olbrzymie atuty propagandowe zarówno w kraju jak i za granicą — ale zapewne każdy zrozumie to, że dla strony katolickiej był on najbardziej do przyjęcia trudny. W toku przedłużających się beznadziejnie obrad przedstawiciele Episkopatu doszli najwidoczniej do przekonania, iż dla zapewnienia Kościołowi możności działania na polu religijno-duchowym konieczne są, przynajmniej na pewnych punktach, ustępstwa i zejście poza ten najbardziej mu właściwy tradycyjny teren. Innego wyjścia nie było: trzeba było przyjąć zobowiązania, od których w innych warunkach Kościół najchętniej byłby się uchylił.

3. Poszczególne zobowiązania, które Kościół na siebie przyjął, zawierają się w pierwszych 9 punktach zawartego porozumienia oraz w pierwszych 2 punktach protokołu.

III. OPINIA KATOLICKA A POROZUMIENIE

Jak się należało spodziewać, podpisanie układu między Kościołem a Państwem wzbudziło bardzo żywe zainteresowanie katolickiej opinii publicznej, która na różny sposób go komentuje.

Najpierw większość tej opinii była po prostu zaskoczona samym faktem podpisania układu. Ponieważ obrady toczyły się na ogół w dużej dyskrecji, mało kto mógł wiedzieć lub domyślać się, że zmierzają one do pozytywnego wyniku. Nie spodziewano się tego, zwłaszcza wobec ostatnich posunięć w związku z „Caritasem". Niektórym trudno było uwierzyć w sam fakt zawarcia umowy. Dosyć wspomnieć, że jedni przypuszczali, iż to sama prasa rozgłosiła porozumienie, na które Episkopat miał odmówić swej zgody; inni domyślali się, że dokument ten podpisała komisja Episkopatu, ale we własnym tylko imieniu; inni jeszcze — że w Episkopacie nastąpić musiał rozłam, że porozumienie podpisała tylko część biskupów, podczas gdy druga część była mu przeciwna. Znany komunikat do wiernych, podpisany w Gnieźnie przez wszystkich biskupów polskich, wykazał naocznie, że wszystkie tego rodzaju domysły i przypuszczenia były bezpodstawne i mijały się z prawdą.

Poza tym opinie katolików o porozumieniu dosyć zasadniczo się różnią. I tak:

Jedni, nie dość pomni na konieczność duchowej niezależności katolicyzmu i na jego rezerwę wobec spraw politycznych i rozgrywek partyjnych, najpełniej cieszą się, że ziściło się nareszcie to, do czego od wielu lat dążyli. W zawarciu umowy, którą uważają poniekąd za swoją zasługę, widzą otwarcie drogi ku socjalizmowi, którą sami już dawno kroczą. Obecnie zaś zachęcają do ostatniego kroku: do masowego wejścia katolików na tereny polityczne oraz do wyraźnego sterowania w kierunku socjalizmu. Na tej drodze idą tak daleko, że pozwalają sobie na gorzką ironię wobec naszych Księży Biskupów (za „kunktatorstwo") i nie cofają się nawet przed udzielaniem rad i przestróg Stolicy Św.

Drudzy znowu przeciwnie uważają, że podpisując porozumienie Episkopat stracił wiele, a przede wszystkim, idąc na przekór ogólnej opinii, podkopał swój wielki kredyt w masach i stracił popularność. Współczują niejako z Biskupami i sądzą, że ta jedna racja powinna była wystarczyć, aby powyższej ugody z Rządem nie podpisywali.

Inni posuwają się w sądzie jeszcze dalej. Twierdzą, że zawarcie porozumienia oznacza kapitulację Episkopatu wobec Rządu. Biskupi, według nich, powinni byli wytrwać na stanowisku bezkompromisowym, bez względu na następstwa. Powinni byli walczyć do ostatka i to nie tylko o sprawy religijno-kościelne, lecz z tą samą energią występować w sprawach polityczno-społecznych, choćby się nawet tych ostatnich obronić nie dało, a pierwszym tylko zaszkodziło. Rzecz znamienna, że tego rodzaju sądy wypowiadają nieraz odważnie ci, którzy sami nie czynią nic, zachęcają tylko innych, aby posterunków przez nich opuszczonych bronili, choćby ze szkodą dla ich własnych zadań. Sekundują im w tym rzecznicy obcych mafii, którzy odnosząc się równie wrogo do obozu marksistowskiego jak i do katolicyzmu, chętnie by je widzieli w stanie permanentnej walki, a może i w krwawej, obie strony wyniszczającej wojnie.

Inni wreszcie oceniają zawarty układ pozytywnie. Dochodzą oni do przekonania, że w obecnych warunkach porozumienie stanowi akt nie tylko nieunikniony, ale także pożyteczny i słuszny. Tak mniej więcej sądziła od początku większość ludzi myślących spokojnie i trzeźwo. Dziś w ten sposób myśli bodaj większość katolików w Polsce, a liczba ich zdaje się stale powiększać w miarę, jak przemijają pierwsze odruchy i opadają wzburzone uczucia i nastroje.

IV. ŹRÓDŁA ZASTRZEŻEŃ

Głosy krytyki o zawartym porozumieniu płynąć mogą z wielu źródeł. Wymienimy z nich niektóre, swoiście polskie, jakim ulegli nasi malkontenci. Są to: cieplarniana prostota, romantyczne zaślepienie i brak wyobraźni.

P r o s t o t a c i e p l a r n i. Są ludzie, niewątpliwie uczciwi, którym zdaje się, że z każdej sytuacji, choćby nie wiem jak zawikłanej i ciężkiej, jest jasne i proste wyjście, nie tylko moralnie czyste, lecz również wolne od wszelkiego innego zła czy nieszczęścia. Sądzą, że człowiek, który się w takiej sytuacji znalazł, może się z niej wydobyć, nie otarłszy się nawet o zło, z którym nie ma się co liczyć, i bez narażenia się na przykre następstwa, których nie musi brać w rachubę. Choćby nawet zabrnął w grząskie bagno i uwikłał się w kolczaste druty, wyjść może, jeśli tylko zechce, stopą suchą, bez potknięcia się, bez obrazy czy zadraśnięć. Skłonni są oni przypuszczać, że dzieje ludzkie są zawsze prostolinijnym, ściśle uregulowanym strumieniem, który płynie bez wirów i wzburzenia, wymijając szczęśliwie wszelkie rafy i mielizny. Zapominają beztrosko, że historia ma swoje niespodzianki i ryzyka, i że pisać ją trzeba — zawsze szlachetnie i prosto — ale po liniach nieraz najbardziej pogmatwanych i krzywych. Nie zdają sobie może sprawy, że swe tak proste i piękne zasady zawiesili — w cieplarni!

R o m a n t y c z n e z a ś l e p i e n i e. Inni ludzie nie potrafią czekać, nie lubią spokojnie myśleć ani racyj ważyć. Mało wrażliwi są na argumenty, lekceważą przestrogi. Mierzą siły na zamiary. Spieszą się. Zamiast obmyślać naprzód postępowanie, najpierw postępują, na jutro zostawiając ocenę dzisiejszych czynów. Wystarczy, że w chwili decydującej padnie skądciś piękne hasło w rodzaju: „Za naszą i waszą" — aby hasłem tym urzeczeni, rzucali się na ślepo, nieraz szaleńczo w najbardziej nawet ryzykowne walki czy imprezy. Słowem, ostatni głos ma u nich nie rozsądek, nie refleksja, lecz irracjonalny odruch, świadczący niejednokrotnie nieledwie o zaniku poczucia samozachowawczego, o braku wszelkiej odpowiedzialności.

B r a k w y o b r a ź n i. Są ludzie tak bardzo beztroscy, iż nie tylko nie chcą myślowo ważyć, obliczać i organizować, lecz ponadto posiadają jakąś szczególną niechęć do przewidywania następstw kroku, na który się na ślepo poważą. I oni przedsięwzięć nie starają się przemyśleć do końca. Co więcej, nie „wypatrują" zupełnie jutra, zdają się przymykać oczy na niebezpieczeństwa ryzyka, które ono często kryje. Lecą beztrosko za promykiem słońca a chociaż za nim kłębią się ciemne chmury, obiecują sobie, że tuż za tym promykiem idzie pełna, rozsłoneczniona pogoda. Zabrakło im po prostu przewidującej wyobraźni.

Co gorsza, tego rodzaju romantycznej psychozie i olśnieniu przez złudne pozory czy hasła ulegają nieraz nawet wysoko postawieni przywódcy, w których ręku spoczywają losy całych społeczeństw czy krajów i to wtedy, kiedy te losy ostatecznie się ważą i decydują. Co za nieszczęście, jeśli i oni poczną myśleć nie rozumem, lecz sercem i nastrojem, jeśli nie potrafią przewidywać i brać w rachubę dalszego biegu i następstw procesu, który swą decyzją raz w ruch puścili. Krok następny nieuchronny: lekkomyślnie szafować będą prawami a może i krwią, mieniem lub nawet życiem obywateli. Obiecywać sobie będą sukcesy na jutro, niepomni, że przed tym jutrem otwarli już perspektywę najcięższych może klęsk, dróg krzyżowych i rozczarowań, czy może wewnętrznego w kraju rozdarcia i duchowej prostracji. Że nie są to czysto platoniczne przypuszczenia, wiedzą o tym dobrze z własnego doświadczenia choćby ci, którzy przeżyli niedawno gehennę warszawskiego powstania. I nie tylko oni, niestety. Słusznie tedy opinia krajów, bardziej społecznie wyrobionych, sądzi sceptycznie i wprost dyskwalifikuje przywódców, którzy przed decyzją angażującą los kraju i przyszłych jego pokoleń, nie umieją, „nie mają czasu" zawieszać szal wagi i spokojnie mierzyć na nich i obliczać racje za i przeciw.

Moralista wyciągnąłby stąd wniosek, iż dziś, kiedy coraz mniej jest rozwiązań prostych, częściej niż kiedykolwiek trzeba się uciekać do tzw. zasady podwójnego skutku, którą zwłaszcza ten, kto ponosi odpowiedzialność za losy innych, znać i stosować musi. Naturalnie, środków złych samemu używać nie wolno, nie znaczy to jednak, żeby można było usunąć wszelkie zło ze środowiska, w którym się działa, albo nawet wykluczyć każdy zły skutek własnego działania. Dlatego człowiek działający roztropnie musi przewidywać i brać w rachubę także środki złe i skutki własnych czynów. Musi przewidywać czynności i „wyobrażać" sobie ich następstwa: kłaść na jednej szali wagi spodziewane atuty i szanse, a na drugiej — ryzyka i szkody, ważyć nawet stopień ich pewności czy prawdopodobieństwa.

V. POSTĘPOWANIE EPISKOPATU

Tę właśnie zasadę — dziś dopiero widać to coraz wyraźniej — stosował z całą surowością nasz Episkopat. Zanim podpisał akt tak wielkiej doniosłości, jaki stanowi, bez wątpienia, omawiane porozumienie, najpierw spokojnie sprawę rozważał. Nikt też chyba nie może mu zarzucić, że działał zbyt pospiesznie, lekkomyślnie lub w romantycznym zaślepieniu. Wpierw bowiem bardzo d ł u g o roztrząsał projektowane rozwiązanie zagadnienia i przewidywał wszelkie jego następstwa, nawet reakcje opinii i zgorszenia tych, którzy — scandalo pusillorum czy pharisaeorum — dziś z ich decyzji się gorszą. Dosyć wspomnieć na to, że pertraktacje z Rządem trwały w sumie kilka lat, że odbyło się wiele wspólnych obrad, najpierw delegatów obu stron, później komisji mieszanych i podkomisyj, i na to jeszcze, że w tym okresie odbywały się zjazdy Episkopatu polskiego tak często jak zapewne nigdy jeszcze w dziejach Kościoła w Polsce. Fakt ten dał nawet okazję do podnoszenia przez prasę zarzutów, iż księża biskupi rozmyślnie grają na zwłokę, aby umowy z Rządem w ogóle nie zawrzeć.

Dopiero kiedy sprawa została wszechstronnie i głęboko rozważona, przystąpił Episkopat do ostatecznej, dojrzałej decyzji, biorąc za nią pełną odpowiedzialność. Nie poszedł, rzecz jasna, za sugestią tych wygodnych doradców, którzy pragnęli go za wszelką cenę odwieść od zawarcia ugody, aby mieć w Kościele bastion do obrony innych, nie religijnych zadań i celów. Nie poszedł również za sugestią tych, którzy mu doradzali pójście na socjalizm. I nie sprawił miłego widoku członkom obcych i Kościołowi zdecydowanie wrogich mafii *), którzy chętnie widzieliby go uwikłany w permanentną i wyniszczającą walkę z obozem marksistowskim. Wręcz przeciwnie, uczynił wszystko, co było w jego mocy, aby wiernym oszczędzić ofiar a całej Polsce tragicznego rozdarcia. Poszedł drogą jedyną, jaką mu wskazywała roztropność: zawarł porozumienie z Rządem R. P. A przed tym krokiem, który uznał za swój obowiązek sumienia, nie mogły go powstrzymać żadne względy uboczne, ani nawet troska o zachowanie olbrzymiego kredytu zaufania, jakim się wśród szerokich mas wierzących cieszy. Ryzyko i tego odium wziął Episkopat na siebie. Wolał raczej narazić się na ewentualny spadek swego autorytetu, niż w trosce o popularność dopuścić do tego, że na wielkie szkody i klęski narażą się wszyscy wierzący, nie wyłączając tych, którzy może ulegają dziś niebacznie pokusie odmawiania mu swego zaufania. Przez swą mądrość, energię i wysokie poczucie odpowiedzialności dali Biskupi dowód najlepszy — realny, a w Polsce tak rzadki — że na to zaufanie wszystkich w pełni zasługują.

VI. OSIĄGNIĘCIA RELIGIJNE

W toku odbywających się z Rządem pertraktacji dowiódł jeszcze Episkopat trzech innych rzeczy. Najpierw wykazał niezbicie, że Kościół nie jest i nie może być niczyim narzędziem ani ekspozyturą żadnej grupy czy orientacji politycznej. Po wtóre dał oczywisty dowód, że spraw politycznych Kościół nie uważa bynajmniej za najwyższe, że jako taki nie jest w nich zainteresowany, że szczerze pragnie się od nich trzymać jak najbardziej daleko, pozostając „audessus de la mêlée". Po trzecie dowiódł też niezbicie tego, że szczerze i realnie pragnie zgody Kościoła z Państwem. Poszedł do ostatnich dopuszczalnych ustępstw, aby do tej zgody doprowadzić, oddając w ten sposób bez reszty „cesarzowi to co jest cesarskie". Wytrącił przez to broń z rąk publicystów, którzy uparcie głosili, że hierarchia Kościoła unika z Państwem porozumienia.

Oddawszy „co jest cesarskie cesarzowi", tym mocniej i niezachwianiej mógł się Episkopat domagać możności oddania „tego co Boskie — Bogu": Kościół zostaje sobą, tj. instytucją religijną i nadprzyrodzoną, założoną przez Jezu-

*) *Zob. Osservatore Romano z 19.3. 1950. M. Cardovani: „La Chiesa e la Massoneria".*

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

PROCESJA W PENHROS

Gdy jak ptaki, ocalałe z nawałnicy,
W obcej ziemi gniazda zakładamy,
Wyjdźże z nami, Panie Jezu, z kaplicy,
Zobacz, jak tu mieszkamy.

Miła-ć chyba przechadzka w rannym czasie,
Gdy Cię nasza oprowadza gromada,
Boś uśmierzył wiatr, by świec nie gasił,
Zakazałeś deszczowi padać.

Więc zmroczone i nawisłe obłoki
Odpływają na kraniec świata,
A Ty patrzysz i idziesz wolnym krokiem
Po rozsypanych kwiatach.

Te baraki drewniane — to domy nasze
Niepokaźne i niskie i ubogie,
Ale często ptak przyleci pod daszek,
Trawa pachnie pod progiem.

Słonce w oknie złotawym blaskiem stanie,
Zajrzy czule w nasze biedy i troski
I rozświetli Twój krzyżyk na ścianie
I obraz Częstochowski.

A tam dalej u drogi, co w świat idzie,
Nasze grzędy zielenieją żałośnie,
Kiepska ziemia, Panie Jezu, Sam widzisz,
Nic nam nie rośnie.

A tu ołtarz ustrojony w kwiaty,
Umajony rumiankiem i głogiem;
Daruj, żesmy zamiast makaty
Dali koc pod Twe nogi.

Ni wazony tu różami strojne,
Ni dywany, ni barwne kilimy, —
Ano, Sam wiesz, żeśmy z Polski na wojnę
Wyszli tak, jak stoimy.

A tą drogą wśród zielonych łęgów
Wędrujemy na spacer co wieczora:
Modre góry na widnokręgu,
Nad niemi zorzy koral.

A poniżej szafirowych szczytów
Srebrny obłok mgły się położył,
A nam oddech zapiera z zachwytu,
Żeś tak pięknie to stworzył.

A tu — Jezu — spójrz i zamyśl się w Sobie —
Krzyż przy drodze, jak to u nas bywało...
Ach, powiedzieć nie umiemy Tobie,
Jaka tęskność. I żałość...

sa Chrystusa dla zbawienia ludzi i zachowuje możność pełnienia powierzonej sobie przez Boskiego Zbawiciela misji. I rzeczywiście Kościół polski nie został „hors la loi“. Na mocy porozumienia zdobył koncesje, o których uzyskanie — jak podnosi prasa zagraniczna — starała się usilnie hierarchia katolicka na Węgrzech i w Czechosłowacji. Jeśli Kościół Polski je uzyskał, to jest to niewątpliwy sukces i zasługa naszych Biskupów, a zwłaszcza członków Komisji Mieszanej, którzy potrafili przekonać stronę rządową i uzyskać jej zgodę na uznanie najbardziej zasadniczych praw Kościoła. Jakie to są prawa? Wymieńmy z nich co najważniejsze.

1. Zachowanie w całej pełni nietkniętej doktryny katolickiej. Nawet gdy mowa jest o zobowiązaniach Kościoła na rzecz Państwa, granicę tych obowiązków stanowi zawsze katolicka doktryna. W tekście układu spotykamy co krok formalne zastrzeżenia: „zgodnie z nauką Kościoła“, „zgodnie ze swymi zasadami“, „zgodnie ze swymi założeniami“. I nie przyjął Episkopat żadnego zobowiązania, które by stało w jawnej sprzeczności z Prawem Kanonicznym. Niesłuszna jest więc podniesiona niedawno sugestia, jakoby Rząd R.P. wymagał od katolików wyrzeczenia się własnej doktryny na odcinku społecznym. W akcie porozumienia poręczającym Kościołowi nienaruszalność jego nauki nie ma żadnej wzmianki o podobnym wyjątku od ogólnej zasady.

2. Rząd uznał zasadę, że papież jest miarodajnym i najwyższym autorytetem Kościoła i to nie tylko w sprawach doktrynalnych, tj. w kwestiach wiary i moralności, lecz również w kwestiach kościelnej jurysdykcji. Uznanie to mieści także w sobie zgodę na komunikowanie się ze Stolicą Św. w Rzymie i otwiera drogę do nawiązania z nią stosunków dyplomatycznych. Kto więc chce sobie zdać sprawę z wielkości uzyskanych przez Episkopat koncesji na rzecz Kościoła, niech rozważy, czym jest choćby to jedno tylko ustępstwo, a niewątpliwie wyrobi sobie właściwe pojęcie o wadze gatunkowej tego osiągnięcia.

3. Prawo prowadzenia, w obecnym zakresie, Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i innych szkół o charakterze katolickim, które będą mogły korzystać z praw uczelni państwowych na ogólnych zasadach. Zostanie zachowany nadal obecny stan nauczania religii w szkołach, do których rodzice będą posyłać swe dzieci, z pominięciem szkół bez nauki religii. Młodzież szkolna zaś ma prawo brania udziału w praktykach religijnych poza szkołą.

4. Odroczenie obowiązku służby wojskowej dla alumnów seminariów duchownych na cały czas studiów oraz uwolnienie od czynnej służby wojskowej kapłanów i zakonników po złożeniu ślubów. Nie trudno sobie wyobrazić, jak wielkie groziły szkody Kościołowi w Polsce, gdyby tych odroczeń i zwolnień nie uzyskano: kapłani i zakonnicy byliby odrywani od spełniania właściwych sobie funkcji religijnych duszpasterskich, klerycy zaś byliby narażeni na zwłokę w otrzymywaniu święceń kapłańskich, na przerwy w studiach a może i na utratę powołania, oraz na szereg najbliższych lat wyludniłyby się seminaria duchowne.

5. Zagwarantowanie Kościołowi prawa prowadzenia działalności charytatywnej, dobroczynnej, katechetycznej a zwłaszcza duszpasterskiej i nie tylko ogólnej, lecz również specjalnej: tak wśród młodzieży szkolnej, jak i w wojsku, w szpitalach i więzieniach.

6. Możność prowadzenia pism i wydawnictw katolickich, a nawet stowarzyszeń oraz pewna swoboda działalności dla katolickich zakonów i zgromadzeń zakonnych.



CMENTARZ ŻOŁNIERZY 2 KORPUSU POD LORETO.
(W głębi bazylika Matki Boskiej Loretańskiej).
Wszyscy pielgrzymi polscy z W. Brytanii na Rok Święty modlą się za dusze poległych żołnierzy polskich 2 Korpusu na cmentarzach pod Monte Cassino, Loreto i Bolonią. Najpiękniej położony i najstaranniej utrzymany jest cmentarz pod Loreto, którym opiekują się Siostry Nazaretanki.

VII WIDOKI NA PRZYSZŁOŚĆ

Spytać ktoś może, jak się zapowiada przyszłość układu między Kościołem a Państwem, czy będzie on przez obie strony zachowywany i czy przyniesie spodziewane owoce o których mowa jest we wstępie powyższego aktu?

Układ ten, rzecz jasna nie jest wieczny. Nie stanowi zresztą konkordatu. Posiada charakter czasowy. Ale jest pożyteczny i potrzebny, więc niezawodnie zachowywany będzie. Jak długo? — na to trudno nam odpowiedzieć. Jesteśmy realistami do końca. Nie przesądzamy sprawy i nie chcemy o niej wyrokować przedwcześnie, puszczając się na jakieś przewidywania czy domysły. Qui vivra, verra.

Układ powyższy ma, przyznać to trzeba, tę niedogodność, że jest zbyt ramowy, ogólny. Jaki dokładnie sens mają poszczególne jego punkty i sformułowania, to dla osób niewtajemniczonych nieraz przedstawiać będzie niełatwą do odgadnięcia zagadkę. Właśnie dlatego, że ramowy, zostawia sporo miejsca do rozmaitych tłumaczeń. W obszerne ramy wkładać można nie zawsze jednakową treść. Z faktem tym trzeba się tym bardziej liczyć, że w podobnych układach ma zwykle każda strona skłonność do rozszerzania swych uprawnień a ścieśniania obowiązków, i na odwrót do ograniczania praw strony przeciwnej a do rozszerzania zakresu jej zobowiązań. W naszym wypadku wchodzi jeszcze w rachubę ta okoliczność, że obydwie strony nie posługują się całkiem tym samym językiem. Nie da się więc zapewne uniknąć na przyszłość nie tylko pewnej rozbieżności, ale i dowolności w interpretacji urzędowego tekstu umowy. Właśnie niektóre z przytoczonych wyżej zarzutów przeciwko stanowisku hierarchii kościelnej płynęły po prostu stąd, że słowom dokumentu nadano dowolną treść, dorzucając do nich lub odejmując to, co może zupełnie przeinaczać sens sformułowań. A później gorszą się nieraz i oburzają malkontenci na to, co w tekście umowy sami wpierw wykoślawili.

Zapominać jednak nie trzeba, że podpisany przez Rząd i Episkopat akt nie jest prywatnym listem czy sformułowaniem, lecz stanowi publiczny i obie strony wiążący dokument prawny, który jako taki nie może być dowolnie interpretowany. Musi istnieć jakaś autentyczna jego wykładnia, pochodząca od czynników powołanych przez obie wiążące się strony. Przewidywać jednak można, że i w tej ostatniej powstać mogą z czasem jakieś różnice wykładu i konsekwentnie wyłonić się mogą interpretacyjne spory. Pamiętać wszakże trzeba o tym, że różnice te mogą wychodzić poza pewne z góry ustalone granice, nie mogą iść na przekór wyrażonej w dokumencie intencji i woli układających się stron. Właściwa interpretacja porozumienia nie może więc narzucić ideologii i zasad doktrynalnych żadnej ze stron, ponieważ te nie były wcale przedmiotem dyskusji, a nienaruszalność nauki katolickiej jest w tym dokumencie, jak wyżej wspomniano, wyraźnie podkreślana. Rzeczą kompetentnej wykładni jest ujawnienie w świetle dziennym zawartych w układzie zobowiązań, ale nie ma ona mocy tych zobowiązań zmniejszać czy rozszerzać. Jeśli chodzi o stronę katolicką, to znając wolę jej przedstawicieli, nie można rozszerzać, powiedzmy, jej zobowiązań w kierunku szerszego angażowania Kościoła w sprawy polityczne, których on z zasady unika.

Dlatego zdaje nam się, że rola, którą pełniły w czasie pertraktacji obustronne komisje, i po zawarciu porozumienia całkiem nie wygasła. Muszą po obu stronach istnieć jakieś instancje powołane do ustalania, przy obopólnej zgodzie, właściwej autentycznej wykładni poszczególnych punktów czy sformułowań układu, które budzić mogą różnice zdań i uzasadnione wątpliwości. Bez tego zaś wykonanie układu, które nadaje mu pełny sens i skuteczność, potykałoby się co krok o nieprzezwyciężone przeszkody.

VIII. POSTAWA KATOLIKÓW

Stanowisko zajęte przez Episkopat jest nauką i napomnieniem dla wiernych. Ta sama roztropność, która Biskupom kazała zachować w postępowaniu dojrzałość myśli, solidarny wysiłek i wielkie poczucie odpowiedzialności za nasze wspólne losy, nakazuje również wszystkim nam katolikom dyscyplinę sądów, chrześcijańską solidarność i religijne posłuszeństwo.

1. Dyscyplina myśli. Owoc każdej rośliny przez czas swój musi dojrzewać w cieple i świetle słońca. Dopiero kiedy proces jego wewnętrznej fermentacji dobiegnie do końca, owoc staje się dojrzały. Przed tym okresem zrywać go nie wolno, bo przedwcześnie zerwany, jest gorzki lub kwaśny i szkodliwy, a może się nawet okazać trujący. O tym ludzie wiedzą, że procesu dojrzewania owoców sztucznie przyspieszyć się nie da. Tylko swawolne dzieci zrywają je przed czasem. Niekiedy czynią to nawet ludzie dojrzali: wychodzą z kosą lub sierpem na pola, nie czekając żniw. Rzecz ma się podobnie z ludzką myślą. I ona ma swój czas dojrzewania w świetle i cieple Bożej prawdy. Proces formowania się pewnego i sprawiedliwego sądu przebiega zwykle najpierw przez swe stadia pośrednie, wrażenia, domysły, hipotezy, poszlaki, opinii. I tego procesu sztucznie przyśpieszyć się nie da. Muszą wpierw opaść fermenty uprzedzeń, nastrojów, urazów czy lęków. Wydanie sądu przed czasem, to zerwanie niedojrzałego owocu. A taki, zamiast pożytku, przynosi szkody: zatruwa umysł i szczepi w nim proces rozkładu.

Jakże często tej wadzie ulegają ludzie! Zanim sprawdzą wrażenia, zanim zbiorą dane, ferują już lekkomyślne wyroki, nie słuchając świadectwa prawdy. Zanim dojrzeją przesłanki, wyciskają z nich poronione wnioski. Rodzą się w ten sposób nie dojrzałe sądy, lecz jakieś przedwczesne myślowe potworki. Gorzej, jeśli ludzie ci są tak naiwni, iż zdaje im się, że mogą bezpiecznie sądzić wszystkich i o wszystkim i że w każdej chwili zrywać mogą owoce i urządzać żniwa — choćby na przednówku. Jeszcze gorzej, jeśli ścinając na ślepo szypułki, kosząc w maju zboże, święcie są przekonani, że zbierają najdojrzalsze owoce, że robią najsensowniejsze żniwa. Są tak bardzo „nieomylni“, że nawet przez myśl im nie przejdzie, żeby się mogli w sądach swych łudzić czy mylić. To już nieuleczalna choroba. — Zdrowa więc dyscyplina myśli polega na tym, aby procesu dojrzewania sądu nie przerywać przed czasem, lecz pozwolić mu rozwijać się powoli w świetle dowodów i prawdy. Innymi słowy, umieć wątpić i sąd swój, póki nie dojrzeje, zawieszać. Takiej dyscypliny, rzecz jasna, nikt nam nie może narzucić gwałtem. Każdy musi ją wewnętrzną walką zdobywać, szczepiąc w sobie ziarna prawdy, które wydawać będą „owoc czasu swego“.

2. Chrześcijańska solidarność. Sądy niedojrzałe przynoszą jeszcze inne, bez porównania bardziej dotkliwe szkody. Pół biedy, jeśli ten, który je wydaje, strzeże ich dla siebie i, jak się godzi, we własnym wnętrzu zamyka te małe choć tak niesforne i niezbyt urocze monstra. Stanowią one wówczas tylko jego osobistą klęskę i plagę, zatruwając tylko jego życie umysłowe. Tak, niestety, nie zawsze się dzieje. Człowiek, który pokrzywił sobie i znieprawił własne sądy, idzie z nimi do ludzi. Swoje potworki wynosi na rynek, a owocami, którym nie pozwolił dojrzeć, darzy i obdziela swych bliźnich. Wtedy dopiero okażą się w całej pełni wszystkie szkodliwe i trujące właściwości niedojrzałych sądów: szerzyć będą chwasty swych fałszów dalej i szczepić je w umysłach innych ludzi, szarpać będą sławę bliźnich, szkalować niewinnych, podrywać kredyt przełożonych, dzielić będą serca rodaków, siać w nich rozterki wewnętrzne, niechęć i rozgoryczenie oraz budzić wśród braci rozdźwięki i potępieńcze swary. A w ogólnej atmosferze rozgoryczenia i nieliczenia się ze słowami, lekkomyślna swawola posuwa się aż do nicowania przełożonych, do wysuwania zarzutów, ironicznych uwag i zastrzeżeń pod adresem nie tylko duchowieństwa, ale również i Książąt Kościoła oraz do dawania rad, napomnień i przestróg nawet Zastępcy Chrystusa i Ojcu całego chrześcijaństwa. I ta nieszczęsna pochopność do sądzenia swych najwyższych przełożonych płynie z tego samego źródła: braku dyscypliny duchowej i niedojrzałości sądów. Ci bowiem, którzy uważają się za kompetentnych do sądzenia od Boga postawionego zwierzchnika — pominąwszy już inne względy — zapominają zupełnie o tym, że osoba postawiona w górze, lub zmuszona nieraz do działania w dyskrecji, działa zazwyczaj w obfitszym potoku światła, którego nie wszystkie promienie docierają do niższych rejonów, bardziej zatem narażonych na wydawanie sądów niedojrzałych.

3. Religijne posłuszeństwo. Duchowa dyscyplina wiernych winna więc odrodzić największe moce chrześcijaństwa, jakie podkopały może lekkomyślne i niedojrzałe przeważnie sądy: ma wzmocnić względnie przywrócić synowskie przywiązanie do Stolicy św. i pełne zaufanie do naszego Episkopatu. Słowem, uczyć „sentire cum Ecclesia“. Domaga się tego dziejowa potrzeba Kościoła. Poczucie dziejowej odpowiedzialności dyktuje nam jeszcze jedną dyscyplinę ducha: religijne posłuszeństwo, które łączy nas najściślej z Boskim Zbawicielem z Jego św. Kościołem. Trzeba tylko rozumieć sens i rolę posłuszeństwa.

Te trzy zazębiające się za siebie cnoty — dyscyplina myśli, chrześcijańska solidarność i religijne posłuszeństwo — razem wzięte sprawiają katolicką moc oraz jedność serc i myśli, których nam dzisiaj najbardziej potrzeba, i wcielają w życie to, o co się modlił do Ojca swego Boski nasz Zbawiciel:

Ut unum sint, sicut nos unum sumus. (Aby jedno byli, jako My jedno jesteśmy). („Przegląd Powszechny“, nr. 5/698, r. 1950).

X. Stanisław Wawryn.

WIESŁAW ŻYLIŃSKI

KOŚCIÓŁ ROSYJSKI

„Krucha i wątpliwa jedność naszej cerkwi trzyma się jedynie na fałszach i gwałtach, które tolerowane są przez państwo albo przez nie dokonywane: od fałszywych dokumentów fikcyjnego soboru... zaczynając, aż na nowych falsyfikatach w tłumaczeniu aktów soborów powszechnych, kończąc... Wszystkie obronne i ofensywne działania naszej cerkwi przedstawiają obraz fałszerstw, dokonywanych ze swobodną bezkarnością dzięki pilnej opiece cenzury kościelnej, zapobiegającej próbie zdemaskowania tych fałszerstw. W zakresie stosowania gwałtu religijnego, czynność ta uznana została w zasadzie i szczegółowo rozwinięta w przepisach naszego kodeksu karnego" (Wł. Sołowiew: „ Rossija i Wsielenskaja Cerkow", Kraków, 1908, Wyd. III, str. 1245).

Szkic niniejszy usiłuje odpowiedzieć na pytanie: jak to się stało, że rosyjski Kościół prawosławny, prześladowany, gnębiony i niszczony przez rząd sowiecki, stał się od lat przeszło dziesięciu jednym z najsprawnejszych instrumentów sowieckiej polityki zagranicznej?

Że uległ dawnej swej roli w państwie carów i służy imperializmowi sowieckiemu? Że stanowi tylko instytucję państwową?

ROSYJSKI Kościół prawosławny ma tak specyficzną historię swego powstania oraz istnienia w rosyjskich warunkach państwowych, że dla zrozumienia jego roli w dzisiejszej polityce państwa sowieckiego trzeba przypomnieć kilka podstawowych faktów dotyczących jego historii i charakteru.

Powstał on w momencie, gdy tworzące się Księstwo Moskiewskie zapragnęło mieć własny Kościół i gdy jeden z metropolitów kijowskich przeniósł swoją rezydencję z Kijowa do Włodzimierza nad Klaźmą, a później do Moskwy. Powstał więc późniejszy Kościół prawosławny z oddzielenia się (przez rozłam) w Kościele wschodnim Rusi Kijowskiej. Fakt tego oddzielenia się wycisnął piętno specjalne na jego roli społeczno - państwowej. Powstał bowiem dla określonych celów tworzącej się państwowości wielkoruskiej, co nie jest nawet istotnie przeciwne zasadom wschodniego prawa kanonicznego. Dalsze natomiast dzieje tego Kościoła były już całkowicie sprzeczne z prawnym ustrojem Kościoła i jego zasadami kościelnymi.

Równocześnie jednak inny zasadniczy fakt zaważył na jego roli i charakterze. Najazd tatarski i dwa wieki panowania Czyngizowiczów nad Rusią stworzyły pewne fakty dokonane w dziejach Kościoła prawosławnego. Najeźdźca dawał Kościołowi pewne przywileje, dążył bowiem do całkowitego opanowania kraju, a bez pomocy Kościoła uczynić tego nie mógł. Jego zwierzchnicy poszli na współpracę z najeźdźcą mongolskim w zamian za otrzymywane przywileje. Fakt ten został zauważony przez władców wyzwalającego się z obcego najazdu Księstwa Moskiewskiego, a że wyznawali oni ideę omnipotencji państwa, nie zamierzali z nikim, nawet z Kościołem, dzielić się władzą. Kościół więc został zmuszony, aby pójść w służbę państwu.

Gdy Cerkiew rosyjska próbowała walczyć o swoją skromną niezależność w życiu państwa, i to tylko raczej w dziedzinie moralno - duchowej, walka kończyła się dla Kościoła tragicznie. Tak np. w roku 1569 car Iwan Groźny rozkazał uwięzić i zamordować metropolitę moskiewskiego Filipa za śmiałość popierania wbrew carowi zwalczanego przezeń bojarstwa. Gdy władcy państwa moskiewskiego przekonali się, że Kościół i jego kierowników będą zawsze mogli trzymać w ryzach państwowych, a wielkie ambicje państwowe podyktowały im rywalizację w zakresie kościelno - państwowym z Bizancjum — postanowili w roku 1589 powołać do życia patriarchat moskiewski.

Przetrwał on w najcięższych warunkach walki i współpracy z caratem do roku 1700 — faktycznie, do roku 1720 — prawnie, bez obsady przez dwudziestolecie stanowiska patriarchy. W roku tym bowiem car Piotr, Wielkim zwany, zniósł instytucję głowy Kościoła rosyjskiego, a równocześnie wyznaczył organ kierowniczy pod nazwą Świątobliwego Synodu z oberprokuratorem (członkiem rządu) na czele. W okresie stu lat istnienia patriarchatu było około 10 patriarchów, a jeden tylko pełnił swe funkcje we względnie spokojnych warunkach — był nim patriarcha Filaret, ojciec pierwszego cara z domu Romanowych. Inni patriarchowie kończyli życie w więzieniu lub byli po prostu mordowani.

Tradycja całkowitego podporządkowania Kościoła państwu przetrwała do chwili obecnej. Przetrwała nie tylko carat, nie tylko rewolucję 1905 roku i krótki okres konstytucyjny, nie tylko czasy drugiej rewolucji 1917 roku, ale też i przewrót bolszewicki i nowy okres stosunku państwa sowieckiego do Kościoła — okres ograniczonego porozumienia państwa z Kościołem w roku 1929 i 1941. Tradycja ta — powtarzamy trwa do chwili obecnej.

II

Znakomity filozof rosyjski Włodzimierz Sołowiew, którego 50 -lecie śmierci właśnie przypada w lipcu tego roku, odróżnia w dziedzinie religii i Kościoła niejako dwie wolności, dwie swobody: 1) niezależność Kościoła, jako korporacji (duchownych i świeckich) od zewnętrznej władzy państwa 2) niezależność indywidualną w zakresie wiary, to znaczy prawo do wyznawania określonej wiary i określonych doktryn wyznaniowych, pozytywnych czy negatywnych. Swobodę czy wolność pierwszą nazywa on wolnością kościelną, swobodę czy wolność drugą — wolnością religijną. Zdaniem Sołowiowa w Rosji nie uznawano nigdy ani jednej ani drugiej wolności.

„Nasze dzisiejsze (na przełomie XIX i XX wieku, przyp. aut.) instytucje kościelne — pisze Sołowiew w swojej znakomitej i głośnej w świecie książce p. t. „La Russie et l'Eglise Universelle" — oddały się całkowicie interesom państwowym, ażeby otrzymać od państwa gwarancję swego istnienia przeciwko niebezpieczeństwu dyssydentów. Taki cel materialny nie może też rozporządzać innymi środkami niż materialnymi. Sposoby przymusu i gwałtu, wskazane w zbiorze praw karnych imperium — oto w swej istocie jedyna broń, którą nasze prawosławie umie przeciwstawić z łaski państwa zarówno wewnętrznym dyssydentom jak i wyznaniom zagranicznym".

Czym w swej istocie był rosyjski Kościół prawosławny, określił już dawno znakomity pisarz rosyjski i słowianofil I. Aksakow.

„Akselbanty generał - adiutanckie, które otrzymał w odznace przy carze Pawle I. członek Świątobliwego Synodu, arcybiskup pskowski Ireneusz, wymownie ilustrują stosunki Kościoła i państwa w Rosji", pisze Aksakow. „Świecka i nawet wojskowa odznaka na szacie arcybiskupiej nie powinna nas dziwić: dowodzi ona tylko tego, że podstawowa idea naszego kościelnego ustroju otrzymała od czasów Piotra Wielkiego logiczne rozwinięcie. Wiadomo bowiem, że Kościół rosyjski rządzony jest przez organ administracyjny nazywany kolegium duchownym lub Świątobliwym Synodem, którego członkowie wyznaczani są przez imperatora i uzależnieni od cywilnego lub wojskowego urzędnika (oberprokuratora św. Synodu, do którego należy również cała inicjatywa w zarządzie kościelnym). Diecezje zarządzane są nominalnie przez biskupów, wyznaczanych przez głowę państwa na zalecenie Synodu, t. zn. oberprokuratora, który zmienia ich potem według własnego uznania. Hierarchiczne stopnie duchowieństwa wymienione są w tabeli o rangach i odpowiednio upodobnione do rang wojskowych. Metropolita odpowiada marszałkowi („pełny generał" wg. rosyjskiej terminologii) arcybiskup — generałowi dywizji (generał lejtnant) biskup — generałowi brygady (generał major). Księża przy pewnym staraniu i wysiłku mogą dojść do rangi pułkownika. Paweł I był tylko konsekwentny, gdy nagradzał

TADEUSZ ZAJĄCZKOWSKI

„Wyższość sowieckiego człowieka"

W POPRZEDNIM artykule„ Socrealizm w sowieckiej powieści" starałem się pokazać na na paru przykładach niektóre elementy, jakich muszą używać pisarze bolszewiccy, aby wykazać zawsze ‚wyższość' sowieckiego człowieka. Zkolei pragnę przypomnieć inny niezbędny składnik ‚socjalistycznego realizmu'. Wpierw jednak jeszcze jeden przykład obrazujący technikę udowadniania owej ‚wyższości'.

Oto powieść Gieorgija Bieriozko p. t. „Nocz połkowodca". Jest w niej mowa o dowódcy armii, którego nie tylko zna, ale bezgranicznie kocha każdy szeregowy z kilku podległych mu dywizji.

Ten dowódca armii, raniony odłamkiem miny na odcinku jednego z nacierających baonów, przenosi swój punkt dowodzenia do sali szpitalnej, każe aresztować lekarzy, którzy chcą mu nałożyć opatrunek, z łóżka szpitalnego dowodzi bitwą, wygrywa ją, lecz wnet potem umiera na skutek zgangrenowania nieopatrzonej rany.

Jest w tym opowiadaniu następujący fragment: rosyjskie natarcie przełamuje opór nieprzyjaciela. Niemcy odchodzą. Batalion oczyszcza teren.

„— Kaługin Niemca dostał! — krzyknął jeden z żołnierzy.

Istotnie: tego dnia działy się same cuda — każdy dostawał to, czego pragnął. Żołnierze podnieśli się z ziemi. Ujrzeli na drodze Kaługina, jak szedł powoli prowadząc jeńca, który miał związane z tyłu ręce. Żołnierze zaczęli wołać i Kaługin skręcił ku nim na polankę.

— Popalić dajcie — powiedział podchodząc do kolegów.

—Czemuś go odrazu nie wykończył? zapytał żołnierz, podając Kaługinowi woreczek z machorką.

— Po co się spieszyć? — odpowiedział Kaługin. Palce jego skręcające papierosa wyraźnie drżały.

Niemiec — niewysoki, chudy, z czarnymi, wilgotnymi oczami, z przerażeniem słuchał niezrozumiałej mowy. Był bez furażerki — rozmierzwione włosy na wąskiej łysiejącej czaszcze leżały rzadkimi kosmykami... Żołnierze spoglądali na jeńca szybko odwracali się, wiedząc jaki los go czeka.

— Gdzie komisarz? — zapytał Kaługin.

— Śpi — z żalem odpowiedział Dwojegłazow.

— Ja na tego Niemca poluję od roku — mówił Kaługin — ja po spalonej ziemi od roku chodzę, do ludzi stałem się niepodobny... Czegoż wy teraz chcecie ode mnie? —

Żołnierze milczeli, wreszcie jeden z nich bąknął:

— Nie dobrze tak robić...

— Bardzo nawet dobrze! — powiedział Kaługin nie podnosząc oczu.

— Nie, nie dobrze. Popatrz, tutaj jest więcej jeńców. Jakże więc na oczach ich chcesz swego Niemca wykańczać? No, a jeżeli on ucieknie, swoim później opowie? Wtedy Niemcy przestaną poddawać się...

Kaługin, widocznie zaskoczony tym argumentem, nie odrazu odpowiedział.

— A ja go do lasu zaprowadzę — rozległ się wreszcie jego głos.

Któryś z żołnierzy zaśmiał się krótko i natychmiast zamilkł.

— Bitte! — powiedział Kaługin, podchodząc do Niemca i wskazując przed siebie ręką. — Bitte! — powtórzył, uśmiechając się krzywo.

— Ja... ja... przytakiwał gorliwie nic nie rozumiejący Niemiec.

Poszli. Żołnierze w milczeniu patrzyli za nimi. Niemiec idąc oglądał się, potykał, zbaczał z drogi. Kaługin szedł ze zwieszoną głową. Było coś bardzo żałośliwego w jego przygarbionej postaci, w jego zabłoconym, podartym płaszczu.

— Poszaleli ludzie na tej wojnie — przemówił Dwojegłazow, patrząc złym okiem na pozostałych siedmiu Niemców.

Żołnierze milczeli zwróceni twarzami w stronę lasu w czujnym wyczekiwaniu.

Tak minęło parę minut, ale wystrzału, który by im oznajmił, że z Niemcem skończone — wciąż nie było. Naprężenie oczekiwania stawało się nie do zniesienia. Mikołaj nie wytrzymał i nachyliwszy się do Dwojegłazowa, który wydawał się mu lepszym od innych, powiedział szeptem:

— Chodźmy tam... Niech prędzej strzela...

Ale Dwojegłazow poruszył przecząco głową.

Siedzieli tak milcząc, zapatrzeni w krzaki leszczyny: tam w zielonej kipieli młodych wiosennych liści odbywała się egzekucja.

Nagle z krzaków wyskoczył Niemiec. Spieszył się, oglądając się co chwila, i dobiegłszy do siedzących, zatrzymał się zdyszany... Jego związane sznurem ręce poruszały się nerwowo. Potem pojawił się Kułagin. Wlókł się powoli, trzymając w opuszczonej ręce karabin.

— Rozwiąż go tam który — powiedział Kułagin zmęczonym głosem, siadając i ocierając dłonią twarz. — Nie mogłem leżącego!... nie mogłem!... wykrztusił zmieszany.

— Gołubczik! — krzyknął Dwojegłazow. — Ach, ty gołubczik moj! Ruskij ty czełowiek! —

— Ręka nie podniosła się... Rozumiesz? — powiedział Kułagin z wyrazem wstydu i bólu w głosie, odwracając się twarzą do ziemi.

Dwojegłazow nagle rzucił się na Niemca.

— Patrz, jaki człowiek przez ciebie się męczy! — krzyczał. — A, łajdaki! Wystrzelać was to mało!..."

Sądzę, że ten obrazek nie wymaga żadnego komentarza: jego nieprawdziwość, jego fałsz, jego zakłamanie jest rażąco oczywiste.

Ale przecież ta cała, tak krzycząco nieprawdopodobna scena była potrzebna autorowi tylko po to, aby szlachetny Dwojegłazow mógł powiedzieć o szlachetnym Kaługinie: „gołubczik! Ruskij ty czełowiek!" — żeby można było zademonstrować „prewoschodztwo ruskawo czełowieka"

Tak więc „wyższość ruskiego człowieka" jest pierwszym i najważniejszym elementem współczesnej sowieckiej powieści. Drugim z kolei czynnikiem składowym tej powieści jest dobrobyt obywatela sowieckiego. Dobrobyt, który był przed wojną, lub ten, który mógłby być, gdyby temu wojna nie przeszkodziła.

Pozwolę sobie przytoczyć jeszcze jeden wyjątek z powieści Wiktora Awdiejewa pod tytułem „Hurty na dorogach", opowieść o ewakuacji bydła z kołchozów Chersońszczyzny.

Na drugi dzień po opuszczeniu rodzinnego kołchozu stado nocuje w stepie.

„Przygarbiony pastuch ostrożnie wytrząsał z woreczka resztki startej na proch machorki, ułkał sztywnymi palcami glinianą fajeczkę, zapalił i mruknął z filozoficznym spokojem:

— Ot, dożyliśmy! Paprochy palić trzeba! Niedługo pewnie bobki zajęcze zbierać zaczniemy... A bywało, przyjdziesz do kooperatywy — czego tam tylko nie ma ! I machorka i tytoń i papierosy i cygara... takie z całego liścia kręcone...

— Iii... wspominać szkoda — wtrąciła ciotka Paraska. — Żyliśmy — co tu gadać — jak pop na Wielkanoc! Ja łóżko miałam: prawdziwe pańskie łóżko... z siatką, z takimi metalowymi kulami. Jak w lustrze przeglądać się można było... A lustro też miałam, wielkie aż pod sufit: tremo się nazywa...

— Tak, tak nieźle się żyło — przytaknął pastuch. — Bywało, wrócisz na „wychodnoj" do domu — no, przebierzesz się w nowe ubranie: dokąd teraz? A do restauracji: ona-ż tuż, na drugiej stronie ulicy. Kotlecik ci tam podadzą, ogóreczek... na talerzach wszystko, ładnie, kulturalnie... Harmonista „Szirokuju stranu" na instrumencie odstawia, a ty, bracie, skonsumujesz setkę czystej i — do domu pospać... Nu, wot!... Można było rozradować duszę!"

Wprawdzie nam się to może wydawać trochę dziwne, dlaczego na drugi dzień po wyjściu z kołchozu, gdzie można było zawsze dostać i machorkę i tytoń i papierosy i owe cygara, kręcone z jednego liścia — stary pastuch musi palić paprochy, ale to nie razi ani sowieckiego

W SŁUŻBIE PAŃSTWA

odznaką wojskową wyższego urzędnika Kościoła."

Czy to są tylko zewnętrzne drobiazgi — zapytuje Aksakow i dodaje, że one to właśnie dobitnie wskazują na stan wewnętrzny Kościoła rosyjskiego. „Przykuci do służby państwu, słudzy ołtarza sami się uważają za urzędników i za narzędzie władzy świeckiej. (...) Synod petersburski od pierwszych lat swego istnienia cenił wysoko swój charakter instytucji cesarskiej i nie popuszczał okazji, by nie wskazać na władzę świecką jako na istotne i prawdziwe źródło swego autorytetu". To też ten właśnie czynnik państwowy wziął górę w instytucji kościelnej i w wyniku powstał tego rodzaju paradoks, że instytucja państwowa pretendowała do roli i autorytetu równego Soborowi kościelnemu. Kościół stał się funkcją władzy świeckiej i poszedł na służbę do państwa. Aksakow dochodzi do końcowego wniosku, który stwierdza, że rosyjski Kościół prawosławny został ustanowiony nie tyle z pomocą Ducha Świętego, ile przy pomocy praw karno - kryminalnych rosyjskiego imperium. „Ducha prawdy, ducha miłości, ducha życia, ducha wolności — tego właśnie zbawczego natchnienia nie ma w Kościele rosyjskim". (Iwan Aksakow, T. IV. Pism Zbiorowych).

A Włodzimierz Sołowiew, idąc do końca w konsekwentnej analizie stanu Kościoła rosyjskiego, dochodzi do wniosku, że cezaro - papizm zżarł stan moralno - duchowy tego Kościoła, który przestał być prawdziwym Kościołem Bożym, opuszczony bowiem został przez „Ducha Prawdy i Miłości".

III

O świadectwie wystawionym prawosławnemu Kościołowi rosyjskiemu przez dwóch wybitnych myślicieli i patriotów rosyjskich musimy stale pamiętać, gdy rozważamy stosunek rządu sowieckiego do tego Kościoła.

Bolszewicy wypowiedzieli wojnę religii i Kościołowi, uważając, że walka z religią jest walką o pełne zwycięstwo komunizmu sowieckiego. Do czasu traktowali Kościół rosyjski jako gniazdo carskiego dorobku i podporę obalonego tronu. Postawili sobie za zadanie zniszczenie zarówno organizacji Kościoła, jak i (to przede wszystkim) ludzi starej daty, obcych nowemu ustrojowi i niepodatnych na nowe hasła. W nowym materialistycznym poglądzie na świat nie było miejsca na żadne czynniki spirytualistyczne. I w tym pierwszym programowym okresie głoszenia doktryny materialistycznej ani spostrzegli się bolszewicy, że organizacyjnie Kościół rosyjski od wieków już nie jest instytucją kościelną, że stanowi tylko jeden z departamentów organizacji państwowej. Czynniki doktrynalne wzięły górę nad czynnikami natury praktycznej, co niebawem spostrzegli sami bolszewicy i na długo jeszcze przed wybuchem drugiej wojny światowej doprowadzili do „porozumienia" z Kościołem. Fakt to był doniosły, a tymczasem minął bez większego wrażenia na świecie, bowiem propaganda bolszewicka umiała znakomicie maskować faktyczne posunięcia rządu sowieckiego, a rozgłaszała programowe tezy, ilustrując je niewątpliwym zanikiem życia religijnego w Rosji Sowieckiej, które pod presją administracji, naskutek wymordowania duchowieństwa i zrujnowania świątyń uszło w podziemia, istniało w katakumbach.

Bolszewicy pozwolili — w chaosie pierwszych miesięcy rewolucyjnego przewrotu — na wznowienie patriarchatu moskiewskiego w roku 1918, lecz przez gwałty wobec Kościoła i duchowieństwa, doprowadzili już w roku 1923 do zwołania t.zw. Soboru Czerwonego, na którym obalono po pięciu latach istnienia patriarchat moskiewski. Kościół rosyjski rozbity został na szereg odłamów i sekt, z których pewne zaczęły w ogniu terroru państwowego szukać porozumienia z rządem sowieckim. Wśród tych odłamów znalazła się też srodze prześladowana t. zw. Cerkiew patriarsza z ambitnym i wybitnym metropolitą Sergiuszem na czele, który obwołał się zastępcą, a później strażnikiem tronu patriarchy moskiewskiego.

Tendencje ścisłej współpracy z państwem w charakterze jednego z jego organów, wypływające z istoty i ducha Kościoła rosyjskiego, znalazły pewien oddźwięk w rządzie sowieckim. Elastyczność metod i taktyki, przy pozornej niewzruszoności zasad komunizmu sowieckiego, znalazła swój wyraz w stosunku Kremla do tych ugodowych tendencji kościelnych. Kościół leżał już w ruinach i dalsza walka nie była potrzebą naglącą, choć objawy religijności ludu nadal istniały. Sięgając w polityce po pierwowzory z przeszłości rosyjskiej, coraz bardziej nawiązując do programu imperializmu carskiego, rząd sowiecki rozważał pozytywnie ugodowe tendencje Kościoła.

Już Lenin mówił z powodu zawarcia pokoju brzeskiego, że prowadząc wojnę z kimkolwiek i czymkolwiek nie wolno sobie krępować rąk formalnymi i dogmatycznymi kombinacjami. „Rzeczą śmieszną jest nie znać wojennej historii, nie wiedzieć tego, że umowa jest środkiem do zbierania siły. (...) Niektórzy w sposób określony i wprost jak dzieci myślą: podpisałem umowę, znaczy, sprzedałem się szatanowi, poszedłem do piekła. To jest wprost śmieszne, kiedy właśnie wojenna historia mówi jak najbardziej jasno, że podpisanie umowy przy porażce jest środkiem do zbierania sił."

Terror sowiecki wobec Kościoła zniszczył wprawdzie jego stan posiadania, ale życie religijne zapędził w podziemia i utrudnił rządowi jego kontrolę. To też rząd sowiecki doszedł do wniosku w roku 1929, że warto osiągnąć coś w rodzaju porozumienia z Kościołem patriarszym metropolity Sergiusza, nie uważając bynajmniej, że odniósł już pełne zwycięstwo nad Kościołem wogóle, dążył niewątpliwie do ujawnienia życia tego Kościoła, do rozciągnięcia nad nim kontroli i... zebrania sił do dalszej walki. Przecież z całej swej historii, z charakteru, rozwoju i udziału w życiu państwa, Kościół ten całkowicie nadawał się do użycia jako narzędzie państwa i wykonawca jego polityki.

Ponadto mieli bolszewicy ten sam, co i carski reżym, pogardliwy stosunek do Cerkwi. Gdy carowie urządzali w soborach i świątyniach pijatyki, huczne zebrania i parodie ślubów, jak za Piotra Wielkiego i burzliwe zgromadzenia, jak za Pawła I. (patrz Kluczewskij: Historia Rosji; Milukow: Historia Kultury Rosyjskiej), bolszewicy urządzali w świątyniach sale taneczne i kantyny, składy broni i koszary. Za czasów carskich i za czasów bolszewickich tak samo urządzano w murach kościelnych więzienia polityczne i kryminalne. Skoro duch Kościoła rosyjskiego był nawskroś państwowy od lat setek, to i dziś Kościół ten, uznający władzę sowiecką, może być dobrym narzędziem polityki sowieckiej.

Tu tkwi geneza głośnego porozumienia z roku 1929 zastępcy strażnika tronu patriarszego, metropolity Sergiusza z rządem sowieckim. Dnia 29 czerwca 1929 roku metropolita Sergiusz w uroczystym orędziu powiadomił pozostałe resztki hierarchii i wiernych o legalizacji przez władzę sowiecką Cerkwi rosyjskiej. Kościół otrzymał prawo publicznej organizacji swego życia religijnego pod kontrolą rządu. W orędziu swym metropolita Sergiusz stwierdzał: „Chcemy być prawosławnymi, a jednocześnie uznawać Związek Sowiecki za naszą ojczyznę (graždanskaja rodina), której radości i powodzenia są naszymi radościami powodzeniami, a niepowodzenia — naszymi niepowodzeniami." Wzywał wiernych do publicznego podziękowania rządowi sowieckiemu za tyle uwagi (!?) dla potrzeb ludności prawosławnej i zachęcał do lojalności wobec władzy sowieckiej, do uznania jej za władzę prawowitą, pochodzącą od Boga.

Faktowi porozumienia się wzajemnego państwa i Kościoła towarzyszyły okoliczności całkiem specjalnej natury, świadczące wymownie, że rząd sowiecki już w roku 1929 zdecydował się na wykorzystanie Cerkwi prawosławnej jako narzędzia swej polityki zagranicznej. Oto bowiem metropolita Sergiusz żąda równocześnie od wszystkich emigracyjnych rosyjskich kościołów prawosławnych zaprzestania akcji anty-sowieckiej i podpisania deklaracji lojalności wobec Związku Sowieckiego. Ponadto interweniuje on w wewnętrzne sprawy kościelne Kościoła prawosławnego w Polsce i w Finlandii.

Rząd sowiecki i tutaj nie wymyślił nic nowego, lecz poszedł jedynie w ślady rządu carskiego. Oto bowiem już kanclerz Katarzyny II Panin, nawiązując do idei znacznie szerszej i mniej jaskrawo imperialistycznej, wielkiego kanclerza z czasów cara Aleksego, Ordina-Naszczokina, chciał ze sprawy innowierców (prawosławnych i protestantów) w Polsce uczynić narzędzie interwencji rosyjskiej w wewnętrzne sprawy polskie i dążył pod pozorem obrony prawosławnych do stworzenia pro - rosyjskiego stronnictwa politycznego w dawnej Rzeczypospolitej.

Rząd sowiecki, po osiągnięciu porozumienia z Kościołem, również powołał na wzór carski Radę dla Spraw Kościoła Rosyjskiego przy Radzie Komisarzy Ludowych, a przewodniczący tej Rady na wzór oberprokuratora Świątobliwego Synodu stał się członkiem rządu. Kościół zaczął być rządzony według dawnego wzoru.

Dopiero jednak napaść niemiecka na Związek Sowiecki w roku 1941 otworzyła nowy okres bardzo czynnej współpracy Kościoła z państwem, co więcej, uczyniła Kościół rosyjski jednym z istotnych narzędzi polityki zagranicznej Związku Sowieckiego.

Ściślej mówiąc, Kościołowi przypadła z chwilą wojny podwójna rola. Skromniejsza, wewnętrzna — jednego z organizatorów ducha bojowego i woli zwycięstwa w „wojnie patriotycznej", „wojnie ojczyźnianej" jak określił ją Stalin, oraz rola znacznie ważniejsza, zewnętrzna — wybitnego narzędzia imperializmu sowieckiego, współrealizatora polityki zagranicznej państwa. I znowóż — po myśli dawnych, odwiecznych wzorów rosyjskich.

(Dokończenie w nast. n-rze)

Wiesław Żyliński

---

autora, ani czytelnika, ani krytyka.

Krytyk sowiecki zwraca uwagę na inne błędy pisarzy.

W lutowym (1948) numerze miesięcznika literackiego „Nowyj Mir" krytyk Lew Subockij zamieszcza „uwagi o prozie 1947 roku". Oto wyjątek z tych uwag, dotyczący znanego sowieckiego poety A. Twardowskiego.

„W Stranicach iz zapisnoj kniżki" (Kartki z pamiętnika) Twardowskiego spotykamy się z takim traktowaniem zagadnienia sowieckiego patriotyzmu, które musi wywołać nasz gorący protest. Oto w rozdziale „Gość i gospodarz" autor pokazuje nam w charakterze gorącego sowieckiego patrioty, który aktywnie pomaga partyzantom, kułaka, — „prawdziwego rozkułaczonego kułaka" — jak ten bohater sam siebie nazywa. Twardowski z zachwytem pisze, jak ten kułak agituje na rzecz sowieckiej władzy, bo to władza swoja, rosyjska, dobra władza: ona kiedy trzeba bije, a kiedy można — pogłaszcze.

Czy nie przyszło Twardowskiemu do głowy — pisze dalej krytyk — w jakim stosunku do życiowej prawdy jest postać nawróconego kułaka? Czyż autor nie wie, że właśnie z resztek ukraińskich kułaków formowali Niemcy kadry starostów, policjantów i innych faszystowskich sługasów na okupowanych terenach? Czyż to nie tacy ludzie jak bohater Twardowskiego przebywają obecnie w obozach dla D. P. na terenie angielskiej i amerykańskiej okupacji Rzeszy i swoją brudną, zbrodniczą robotą powstrzymują tysiące sowieckich obywateli od powrotu ich do ojczyzny? Czyż autor nie rozumie tego, że podsuwa swoim czytelnikom zwykłe kłamstwo i że wykazuje oderwanie się od życiowej prawdy i politycznych zadań współczesności?

Przy takim podejściu do sprawy staje się zrozumiałe, że opisując w rozdziale „Rodzinne strony" odbudowę zniszczonej przez Niemców wioski, Twardowski po prostu zniekształca rzeczywistość. Mianowicie pisze on, że kołchoźnik Michajło Chudolejew buduje sobie nową chatę sam, bez żadnej pomocy i do tego używając tylko siekiery w braku innych instrumentów.

Tak jakby pisarz nic nie wiedział o tej olbrzymiej pomocy, jaką okazuje państwo kołchoźnikom, o rozmachu i organizacji odbudowy kraju!".

Na tym właściwie można by zakończyć tych kilka informacyj, gdyby nie to, że czytanie współczesnej powieści sowieckiej, dostarcza równie dobrze okazji do śmiechu jak i do zgoła ponurych refleksji.

Zaczynając od rzeczy mniej ważnych, zobaczmy jaki jest stosunek współczesnej twórczości sowieckiej do literatury rosyjskiej XIX stulecia?

Dziewiętnastowieczna powieść rosyjska przepojona była pesymizmem, poczuciem kosmicznej beznadziejności szarego, smutnego, i szpetnego życia.

Ale — jak pisze Wacław Lednicki w znakomitej rozprawie „O prozie Puszkina":

„Na tym jednak nie kończy się powieść rosyjska XIX stulecia, mimo że pluskwy gnieżdżą się w ścianach obłomowskiego mieszkania, mimo że bohaterowie Dostojewskiego wiecznie plują na prawo i lewo, a Natasza Bezuchaja uroczyście pokazuje żółte plamy na pieluszkach swego dziecka.

Odtwarzając życie społeczeństwa, odsuniętego przez panujący porządek rzeczy od wszelkiego udziału w zagadnieniach, wykraczających poza ramy domowych nieleszy i robienia kariery — powieściopisarze owego okresu, działając pod ciężkim uciskiem cenzury, zmuszeni byli do wybrania jednego z pozostawionych im kierunków: albo pisanie utworów zajmujących, choćby przy pomocy posługiwania się fałszywymi efektami, albo też — zastąpienie efektów fabuły przez wysokie zalety wykonania, ekspresję postaci, subtelne opracowanie najmniejszych nawet odruchów duchowych i mikroskopową wprost obserwację w dziedzinie fizjologii uczuć .

Powieść rosyjska zastąpiła „efekty fabuły" wysokimi zaletami wykonania, obyczajowymi szczegółami i analizą psychologiczną."

Bez trudu możemy tę postawę odnaleźć w dziele wielkich pisarzy rosyjskich XIX wieku, takich jak Lew Tołstoj, Dostojewskij, Turgieniew, Gonczarow, Czechow. Przy wspólnej im wszystkim nucie pesymizmu, realizm — obyczajowy psychologiczny i historyczny jest główną cechą rosyjskiej powieści XIX wieku.

Żadnej z tych wartości realizmu bez przymiotnika nie wykazują dzisiejsze powieści sowieckie pisane według recept „realizmu socjalistycznego". Trywialność, „brzydota życia" znikły z nich całkowicie nie dlatego, że znikły one z rosyjskiego życia, lecz dlatego, że dzisiejszy autor sowiecki nie chce — a raczej boi się — dojrzeć realną prawdę.

Ale znikł również z kartek powieści sowieckiej XIX - wieczny pesymizm rosyjski. Powieść sowiecka jest optymistyczna. Optymistyczna tanim, prymitywnym optymizmem nie liczącym się ani z rzeczywistością, ani z prawdą psychologiczną — ale pomimo wszystko jest to optymizm.

W powieści sowieckiej zawsze jest przeprowadzony podział na ludzi dobrych — komunistów, i czarne charaktery — przeciwników komunizmu.

Dobro — to znaczy komunizm — zawsze musi zwyciężyć.

Bohaterem jest zawsze dobry, mądry, szlachetny komunista czy jak to coraz częściej się zdarza ostatnio — po prostu „sowiecki człowiek", zdolny do największych poświęceń w imię wielkich prawd komunizmu.

Jeżeli będziemy patrzeć na te sprawy z punktu widzenia czysto artystycznego, z punktu widzenia tak zwanej prawdy artystycznej to dzisiejsza powieść sowiecka jest przerażającym upadkiem w porównaniu z walorami sztuki rosyjskiej XIX stulecia. Dzisiejsza powieść zniszczyła ,zatraciła cały ten wstrząsający realizm psychologiczny i obyczajowy, który był główną cechą utworów ubiegłego wieku. Ale obniżając tak bardzo poziom artystyczny, współczesny pisarz sowiecki wyzbył się również pesymizmu swoich poprzedników, nabył — szczerze, czy nie, to inna sprawa — wiary w prawdy komunizmu i tę wiarę przelewa na swoich czytelników, stwarzając w swoich utworach ideał człowieka, ideał postępowania, wzór do naśladowania.

Pisarz sowiecki wykonuje dziś to, do czego nawoływał przed stu niemal laty jeden z najgłębszych i najbardziej chrześcijańskich umysłów polskich: Cyprian Kamil Norwid mówiąc, że „artysta powinien organizować narodową wyobraźnię".

Otóż czytając sowieckie powieści musimy sobie powiedzieć z melancholią, że *współczesny pisarz sowiecki organizuje wyobraźnię swego czytelnika.*

Sztuka sowiecka przestała być autonomiczną, działającą tylko według swojego widzi — mi — się domeną wzruszeń artystycznych: podporządkowała się ona i służy celom wyznaczonym jej przez partię komunistyczną.

Zaszło tu nader pouczające zjawisko, jak sobiepańska myśl ludzka, walcząc o bezgraniczną wolność dla siebie, w konsekwencji tej walki stała się cichą i pokorną służką tych sił, do których wyzwolenia sama się przyczyniła najbardziej.

A teraz jak się przedstawia sprawa po tak zwanej drugiej stronie barykady, w regionach sztuki niekomunistycznej?

W środowiskach najpoważniejszych, najbardziej czujnych i artystycznie odpowiedzialnych powstają w ciągu XX wieku kierunki: futuryzm, formizm, surrealizm, kubizm, imaginizm, egzystencjalizm. Powstają obrazy malarskie i poematy poetów o programowej niezrozumiałości, pozornie pozbawione wszelkiego sensu. W istocie jednak zawierają te dzieła sztuki niewątpliwą prawdę artystyczną: są one obrazem współczesności, są wyrazem współczesnego świata pozbawionego celu, miotanego odruchami podświadomości w mrocznym chaosie zbrodni, okrucieństwa, kłamstwa i beznadziejnej pustki.

Tutaj możnaby zaryzykować twierdzenie, że intuicja artysty ubiegła intuicję naukowca: na długo przed rozbiciem atomu [illegible] nastąpiło rozbicie wyobraźni artystycznej na elementy [illegible]

STEFAN SIEMIEŃSKI

NA CZUŁE ROZSTANIE

**Ten wiersz jak list jest pożegnalny,
Jedyna moja, czarnobrewa!
Dwie łzy i uśmiech, żal banalny,
Pożółkły liść strącony z drzewa.**

**Już nie zatęsknisz, gdy mnie nie będzie,
Nie dotknie cię to, nie zasmuci.
Inne ci życie smutki przędzie,
Co było — przeszło, nie powróci.**

**Nie wymyślę nic, nie poradzę,
Tylko iść mi samotnie przed siebie.
Jak zastąpić twoją srebrną władzę,
Gwiazdo, zbłąkana na dalekim niebie?**

**Jak zastąpić? — Niezastąpiona.
Jak odmienić? — nic nie odmienię.
Gwiazda strącona.
Jak wskrzesić cienie?**

**Tylko powtarzać twoje imię,
Urok i wdzięk, jedyne w świecie,
I tym sposobem w błahym rymie
Zamknąć szczęśliwe czterolecie.**

**Żeby zakończyć rzecz pogodnie:
Nie przyszło ci do ślicznej głowy,
Że najdziecinniej, staromodnie
Ktoś może być tak romansowy.**

**Wśród trosk i zmartwień jest pociecha:
Ten wiersz poranny, niespodziany.
Ten wiersz do ciebie się uśmiecha
I chce być rzewnie zrozumiany.**

DO DALEKIEJ NAJBLIŻSZEJ

**Dla Ciebie idylla we dwoje,
Przyjęcia, modne stroje,
Kapelusz z piórem.
„Trochę za mało pieniędzy"
I wszystkie myśli między
Domem a biurem.**

**Romantyczne wspomnienia
I nowe rozmarzenia,
Żywsze od dawnych wspomnień
(Dalekie są, zapomniane...),
Twe myśli — obce, nieznane,
Nie dla mnie, nie o mnie.**

**Twoja rzecz: dom, spokój, praca
I niepokój najsłodszy, co wraca,
Każda chwila — za krótka.**

**Moja rzecz: smutek, wspomnienia,
Zamyślenia, milczenia,
Karty, wódka.**

**Tobie — żurnale francuskie, książki,
Kwiaty, perfumy, wstążki,
Przyjaciół wielu.
Mnie — już tylko odjazdy,
Zapatrzenia się w gwiazdy,
Wszystko bez celu.**

**Uczę się żyć bez Ciebie,
Wspomnienia drogie grzebię
Spokojnie, powoli.
Już stajesz się obca, daleka,
Już wiem, że nic mnie nie czeka.
Uważaj!... Bo jeszcze to boli.**

---

człowiek, nie wierzący w nic, prócz w siebie, zaczął tworzyć swój własny świat, mieniąc się w szale pychy twórcą równym Bogu.

Jest też we współczesnej produkcji artystycznej coś z owej biblijnej wieży Babel, gdzie twórczość nie oświecona Duchem Świętym, w sobie samej tylko zadufana, staje się niezrozumiałą dla innych.

Współczesna poważna powieść na Zachodzie właśnie taki nam pokazuje obraz świata. Obraz rozpaczy, smutku, beznadziejności.

A przecież i ten, tak ponury, obraz pokazują nam tylko najlepsi.

Olbrzymia ilość współczesnych pisarzy traktuje swoje pisarstwo wyłącznie jako sposób zarobkowania. Twórczość stała się przedmiotem tylko handlu. Pisze się tylko tak i tylko to, co znajdzie najłatwiejszy i najlepszy zbyt.

Ażeby nie być gołosłownym przytoczę to, co w tej materii pisze w polskim miesięczniku wychodzącym w Paryżu pod bardzo czcigodnym tytułem „Kultura" polski pisarz przebywający obecnie w Ameryce p. A. Janta (Kultura Nr 9/26):

„Powiedziałem już w innym miejscu — pisze pan Janta — że największym wzięciem w Ameryce cieszą się tematy religii i seksu. Uzupełnia to oświadczenie ostatni numer Life'u mówiący, że dla czytelników tego reprezentacyjnego dla mentalności tutejszej tygodnika, najbardziej podniecającym przedmiotem zainteresowań jest temat: kotów, Boga i zdrowia".

Pan Janta pisze to w artykule, który ma być poradnikiem dla polskiego pisarza emigracyjnego, jak zdobyć rynek amerykański. I pan Janta — dobry, życzliwy kolega — daje przepis: weź trochę kotów, trochę Boga, trochę zdrowia — podlej to pikantnym sosem seksu — i masz gotowy pasztet, który zapewne uda ci się korzystnie sprzedać czytelnikowi amerykańskiemu.

Jakże po takich obrazkach wygląda idyllicznie i mile, sielankowo i moralnie powieść sowiecka...

Jak bardzo wszystko to, co się robi na Zachodzie, przygotowuje dusze ludzkie do przyjęcia komunizmu jako jedynego wybawienia, jedynego uporządkowania świata. Jak bardzo ludzkość sama prostuje ścieżki dla nadchodzącego władztwa zła i ciemności!

Albowiem w bojowaniu człowieczym o jedność świata można służyć albo Bogu, albo szatanowi. Najbardziej zaś złowroga staje się służba szatanowi wówczas, gdy człowiek zaczyna służyć sobie samemu, siebie na ołtarzach Bożych postawiwszy.

Może się wydać dziwaczny ten przeskok od tak zdawałoby się specjalnego tematu jak współczesna powieść sowiecka do tych apokaliptycznych obrazów. Jednakże wydaje mi się, że jedność życia jest niezaprzeczalna, iż w każdym najdrobniejszym nawet jego przejawie można dostrzec elementy całości i podobnie jak z budowy atomu można wywnioskować o prawach budowy wszechświata, tak również rozważając sprawy tylko powieści sowieckiej możemy dojść do zrozumienia tej prawdy, że oddalając się od bieguna dobra musimy stoczyć się ku biegunowi zła.

Odrzucając jedność świata budowaną w imię Boga, musimy skończyć na jedności świata szatana.

Tadeusz Zajączkowski

WŚRÓD CZASOPISM BRYTYJSKICH

KOREA

PRASA codzienna swym balastem sensacji, reklamy i blagi — przynosi współczesnemu człowiekowi więcej szkody niźli pożytku. Utrzymuje masy w stanie histerycznego podniecenia, dając im zbyt szybko i zbyt obficie jednostronne, tendencyjne wiadomości, wpychając w niego na siłę informacje bezpośrednio go nie dotyczące, a często okłamując go po prostu w sposób mniej lub więcej cyniczny. Wszystkie te wady występują w daleko mniejszym stopniu w prasie periodycznej, która niekiedy osiąga duży stopień obiektywizmu.

Biorąc do ręki znajomy nam od dawna tygodnik, czy miesięcznik, wiemy kto, jak i o czym będzie nas informował. Znamy już dobre i złe strony umysłowości poszczególnych publicystów, liczymy się z nieukrywanym przez poważne periodyki kierunkiem politycznym, któremu dany organ służy i — **last but not least** — mamy prawo oczekiwać, że opinie i komentarze, które nam będą podane, wyszły od osób kompetentnych w danym przedmiocie i napisane zostały bez przesadnego pośpiechu. Z tych względów, gdyby przypadła mi w udziale odpowiednia władza, — zlikwidowałbym wszystkie codzienne pisma i przyzwyczaił ludzkość do czytania odpowiedzialnie redagowanych tygodników, miesięczników, kwartalników i może roczników... To też po wybuchu wojny Koreańskiej, nie czytając dzienników, oczekiwałem na swą tygodniową porcję brytyjskich czasopism, które przeglądam na użytek czytelników ŻYCIA. Nie zawiodłem się. Oto parę głosów, pogłębiających zrozumienie wydarzeń, które — być może — będą w przyszłości opisywane przez historyków jako punkt zwrotny w dziejach udręczonej ludzkości.

Zaczynam od wytrawnego publicysty niezależnego tygodnika **„Time and Tide"**, Diogenesa, którego sposób myślenia zdążyłem już poznać z innych wystąpień i który był cytowany na tych łamach przed kilku tygodniami.

W artykule pt. „Communism and Korea" Diogenes twierdzi, że inwazja południowej Korei oznacza zasadniczy zwrot w historii. Znaczenie obecnych wydarzeń nie będzie prawdopodobnie mniejsze niż zajęcie Czechosłowacji przed drugą wojną światową, ale, jak się wydaje, rola ich będzie zupełnie inna.

Jak zwykle jasne logiczne wywody komentatora **„Time and Tide"** podzielone są na dwie części. W pierwszej zastanawia się nad inwazją Korei rozpatrywanej wyłącznie jako domena wpływów Ameryki i Rosji.

„Gdybyśmy uważali południową Koreę — pisze — wyłącznie za państwo satelickie Stanów Zjednoczonych, a północną Koreę jako satelitę Rosji Sowieckiej, nawet wówczas znaczenie tego, co się stało, byłoby ogromne. Z chwilą załamania się armii Czang-Kai-Szeka i podbicia właściwych Chin przez komunistów, Południowa Korea stała się ostatnią placówką wpływów amerykańskich na kontynencie chińskim. Obecnie jest jasne, że Stalin zamierza wyeliminować te wpływy i poddać Południową Koreę pod tak ścisły nadzór rosyjski jak Północną. Ale jeszcze jedna rzecz stała się jasna, i to rzecz znacznie ważniejsza. Obecnie widać, że Stalin gotów jest ponieść ryzyko większej wojny w celu zrealizowania swych zamiarów. To zmienia całą sytuację światową".

Wyraziwszy pogląd, że dotychczas dyktator sowiecki uważał otwartą wojnę za ostateczny środek, do którego nie należy uciekać się wcześniej, aż trudności ekonomiczne osłabią zupełnie demokracje, Diogenes dochodzi do wniosku, że dziś Stalin świadomie liczy się z ryzykiem wojny ze Stanami Zjednoczonymi, aczkolwiek spodziewa się raczej jej uniknięcia. Prawdopodobnie oczekiwał on powolności działania państw demokratycznych, ich wahań, które umożliwią stworzenie faktów dokonanych przy pomocy dobrze przygotowanego zaskoczenia — podobnie jak udało się to uczynić Hitlerowi z Austrią, gdy W. Brytania nie potrafiła zdobyć się na żadną reakcję.

Gdyby napaść na Koreę powiodła się, Stalin uzyskałby przy pomocy podrzędnej operacji wojskowej olbrzymie korzyści: wyeliminowanie Amerykanów z kontynentu chińskiego, zniszczenie prestiżu Stanów Zjednoczonych na Dalekim Wschodzie i tak już mocno naruszone załamaniem się ich polityki chińskiej, powiększenie trudności W. Brytanii, Holandii i Francji w ich azjatyckich koloniach i wreszcie poważne zbliżenie do Japonii, której sprawy mocno interesują Rosję. Gdyby Ameryka ujęła się za Południową Koreą, Stalin mógł (i częściowo już to uczynił) uznać całą aferę za sprawę wewnętrzną Koreańczyków i ewentualnie uchylić się od konfliktu zbrojnego na większą skalę, co jednak poderwałoby prestiż Rosji.

Streszczone powyżej rozumowanie dotyczy założenia „gdyby Korea Południowa była satelitą Ameryki". Ale — jak pisze Diogenes — kraj ten jest także przedmiotem zainteresowania i szczególnej odpowiedzialności Organizacji Narodów Zjednoczonych. Stalin kalkulował jednak, że jeśli Stany Zjednoczone nie zdobędą się na żadną reakcję, to tym bardziej nie potrafią się na nią zdobyć Narody Zjednoczone. Inercja Ligi Narodów w sprawie Mandżurii była tu zachęcającym przykładem.

Decydując się na inwazję Południowej Korei, Stalin miał na uwadze jeszcze inne kalkulacje. Tu dochodzimy do najciekawszej części wywodów Diogenesa:

„Korea była pomyślana jako próba generalna dla Niemiec. Analogie pomiędzy obomia krajami są w zasadzie bardzo ścisłe. Korea była podzielona na dwie części, z których jedna pozostawała pod wpływami rosyjskimi, druga zaś amerykańskimi. Na północy Rosjanie pozostawili komunistyczny rząd marionetkowy (...) wyposażyli go i stworzyli armię komunistyczną. Następnie, upewniwszy się, że kraj trzymany jest w żelaznych kleszczach przez rząd, który uczyni wszystko, co będzie mu nakazane, Rosjanie wycofali swe wojska. Dziecinna dyplomacja Zachodu wyciągnęła stąd wniosek, że Amerykanie także muszą wycofać swe wojska z Południowej Korei. Ale Amerykanie nie pozostawili po sobie takich stosunków na Południu, jakie Rosjanie stworzyli na Północy. Została po nich korupcja, nieudolność, polityczna nieodpowiedzialność. Pod względem wojskowym Południowa Korea nie została wyekwipowana do obrony, mimo, że Północna przygotowana była do ataku".

Wyliczywszy następnie analogie w położeniu Niemiec i Korei, publicysta angielski konkluduje:

„Czyż jest całkiem dowolnym domysłem przypuszczać, że pewnego ranka dowiemy się, iż Wschodnie Niemcy dokonały najazdu na Zachodnie i przeniknęły głęboko w ich terytorium? Że Rosja uważa to za sprawę wewnętrzną Niemiec i pozostanie neutralna? (...) Jeśli Stalin załatwi się z Koreą, czy nie będzie miał nadziei na powtórzenie przedstawienia w Europie? Bo w każdym razie — jedna rzecz jest pewna: że nie uważa on, aby obecna sytuacja w Niemczech mogła trwać wiecznie".

Kalkulacje Stalina nie ze wszystkim wyszły. Organizacja Narodów Zjednoczonych — ku niezmiernej uldze świata — wezwała państwa, aby pomogły Południowej Korei, a prezydent Truman, który jest zarazem szefem sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych, zarządził pełne wsparcie armii koreańskiej. Na szczęście ludzkość odbyła już długą drogę od momentu, gdy prez. Roosevelt oświadczył Bullitowi, że „ma przeczucie", iż Stalin pragnie jedynie bezpieczeństwa dla Rosji. Teraz jest jasne, że mamy do czynienia z kalkulowaną na zimno konspiracją, zmierzającą do zniszczenia demokracji i ustanowienia dyktatury komunistycznej na całym globie.

W tym samym numerze korespondent wojskowy **„Time and Tide"** omawia lekcję, jakiej nauczyli się Amerykanie z dotychczasowego przebiegu wojny Koreańskiej. Jasne jest, że obecnie z trudem odrabiać trzeba błędy popełnione w przeszłości. Gdyby we właściwym czasie użyto pieniędzy, ludzi i materiału wojennego w celu odpowiedniego uzbrojenia Południowców, dzisiejszy najazd odparty byłby z łatwością.

Prasa wszystkich trzech partii brytyjskich — konserwatystów, laburzystów i liberałów — poparła postanowiony przez rząd udział w akcji O.N.Z. na rzecz Południowej Korei. Jedynie prasa lorda Beaverbrooka zgłasza swe insularne **„ceterum censeo"**, niby to w obronie angielskich rekrutów. **„Daily Worker"** stanął — rzecz jasna — na głowie i pierwsze wiadomości o wojnie na Korei podał pod tytułem: „Republika Koreańska napadnięta — marionetki amerykańskie atakują", co w zestawieniu z tytułem „Daily Telegraphu" „Komuniści napadli Południową Koreę" dało efekt humorystyczny, zanotowany przez **„The New Statesman and Nation"**.

Ale nie o to chodzi. Przy okazji sprawy koreańskiej wychodzą na jaw ciekawe różnice w poglądach konserwatystów i socjalistów brytyjskich na politykę zagraniczną, a zwłaszcza na stosunki amerykańsko-brytyjskie. To warto tu zanotować.

Konserwatywny tygodnik **„Truth"** pióra swego stałego publicysty A. K. Chestertona w artykule zatytułowanym „Dalekowschodnie i inne tajemnice" tak oświetla te sprawy:

Gdy gen. Mac Arthur w okresie Jałty sprzeciwiał się polityce Roosevelta wciągnięcia Rosji w wojnę z Japonią, która już rozważała sprawę kapitulacji, przyczym motywował to groźbą pogorszenia się stosunków na Dalekim Wschodzie — Roosevelt nazwał go „najgorszym amerykańskim dyplomatą". Prezydent Roosevelt nie żyje, ale Mac Arthur musi gołymi rękami wyciągać kasztany wówczas wrzucone do ognia. Pan Chesterton twierdzi, że Roosevelt już na konferencji w Kairze, poza plecami Churchilla układał się z Czang-Kai- Szekiem o wyeliminowanie Imperium Brytyjskiego z kontynentu chińskiego, gdyż w gruncie rzeczy było ono na drugim miejscu czarnej listy amerykańskiej, wpisane tam zaraz po osi Berlin — Rzym. Stalin w Teheranie z radością przyklasnął tej zdradzie amerykańskiej. Zdaniem publicysty **„Truth"** „Stany Zjednoczone wśród swoich celów wojennych przewidywały zawarcie spółki sowiecko-amerykańskiej w celu pochłonięcia reszty świata, a w szczególności Imperium Brytyjskiego".

Na poparcie tej tezy p. Chesterton powołuje się na książkę admirała Leahy „I was there" i opinię wypowiedzianą w związku z tą książką przez R. Crossmana, że „staje się zupełnie jasne, iż wielkim planem Roosevelta była spółka rosyjsko - amerykańska, choć by jej zawarcie miało nastąpić na koszt imperiów brytyjskiego i francuskiego (...) Polityka Marshalla w Chinach — koalicja Kuomintagu z komunistami — uwarunkowana była chęcią uniemożliwienia powrotu do Azji Brytyjczykom; później, przy planowaniu kampanii na Pacyfiku przedsięwzięto starannie środki ostrożności zmierzające do zamrożenia Brytyjczyków i stworzenia z Chin i Japonii rosyjsko-amerykańskiej sfery wpływów (...) Admirał Leahy oświadcza wyraźnie, że zostawszy prezydentem, Truman zastosował tę politykę bez wahania".

Pan Chesterton kwestionuje realność t. zw. zimnej wojny na najwyższych szczeblach i zastanawia się nad przyczynami późniejszej zmiany polityki amerykańskiej w stosunku do Rosji.

„Jakiekolwiek były przyczyny — pisze — faktem jest, że oficjalna zgoda rosyjsko - amerykańska została zastąpiona widoczną niezgodą. Tym nie mniej tylko ślepy mógł nie zauważyć, że łupy były nadal dzielone. Mao, wszedłszy w tajemniczy sposób w posiadanie sprzętu amerykańskiego, przeznaczonego dla Czang-Kai-Szeka, opanował Chiny dla swego czerwonego cara. Imperializm amerykański, używając różnych pseudonimów (...) obejmuje obecnie dziedzictwo, utracone w Południowo-Wschodniej Azji przez Brytyjczyków i Holendrów, a wkrótce przejmie i to, czego się zrzekną Francuzi. Jeśli nawet „wielki plan" przewiduje teraz już nie spółkę z komunistami, lecz ich pochłonięcie, to w każdym razie technika amerykańska zachęcania, a nawet domagania się likwidacji administracyj europejskich — czynnika stabilizacji w tym, zresztą chaotycznym regionie — wydaje się dziwna. (...) W tym świetle pytanie, czy zimna wojna jest realna, czy fikcyjna, staje się mało ważne, skoro narody są po prostu coraz szybciej pochłaniane przez dwa gigantyczne węże boa, do których uciekają w poszukiwaniu schronienia — raz przed jednym, raz przed drugim"..

Zdaniem autora artykułu nie ma obecnie dostatecznych dowodów, że najwyższe sfery kierownicze Rosji i Ameryki działają w ścisłym porozumieniu, dodaje jednak, że w razie opanowania całego świata przez oba te kraje, żaden z nich nie będzie miał powodów do podnoszenia zastrzeżeń przeciw obecnym posunięciom Trumana w stosunku do Korei i Formozy — obliczonym na efekt przed wyborami prezydenckimi w Stanach Zjednoczonych.

„Deklaracje p. Attlee — pisze p. Chesterton, — że Wspólnota Brytyjska nie zajmie jednolitego stanowiska w sprawie Dalekiego Wschodu, gdyż jej członkowie mają się wypowiedzieć za pośrednictwem Zjednoczenia Narodów, jest wysoce znamienna, jeśli rozumie się, że nazwa Organizacja Zjednoczonych Narodów jest tylko inną nazwą Imperium Stanów Zjednoczonych. Ponadto — kończy publicysta „Truth", — czy będzie to dowodem nadmiernej podejrzliwości, gdy zanotuję, że Związek Sowiecki nie użył słynnego veta w celu uniemożliwienia sankcji przeciwko swemu koreańskiemu satelicie?"

Trudno jest w obecnym stanie informacji zająć stanowisko wobec tak daleko idących twierdzeń i hipotez konserwatywnego komentatora. W każdym razie warto je znać i śledzić sytuację także i pod tym kątem widzenia.

Zupełnie inne stanowisko w sprawie koreańskiej zajmuje tygodnik katolicki **„The Tablet"** w artykule redakcyjnym pt. „A hard but vital task". Czytamy tam — podobnie jak w wypowiedziach innych pism, — że ostatnie tygodnie będą uważane za punkt zwrotny w historii; bez względu na ostateczny wynik wojny koreańskiej, już dziś można z wydarzeń tych wysnuć wnioski pocieszające, gdyż obecny kryzys jest dowodem, że z lekcji poprzednich agresji skorzystano w sposób konkretny. W amerykańskiej opinii publicznej zaszły radykalne zmiany, demokratyczny rząd Stanów wykazał zdolność szybkiego i efektywnego działania oraz koordynacji poczynań swych agend. Przyjmując wyzwanie komunistyczne na Korei, Ameryka stanęła na czele świata demokratycznego.

Z braku miejsca muszę pominąć tu ciekawe rozważania „The Tablet" na temat przewidywanego przebiegu wojny, analogie i różnice z wojną domową w Grecji i słusznie wysuwane obawy wejścia jeszcze teraz na drogę kompromisu, któryby uratował na jakiś czas prestiż Amerykanów, ale w końcu dałby korzyści Rosji (jako przykład stanowiska defetystycznego przytoczony jest głos francuskiego pisma „Le Monde" i angielskich „Reynolds News", które jeszcze teraz propagują politykę appeasementu, podczas gdy nawet prasa krajów neutralnych w ostatniej wojnie — jak „Journal de Génève" — popiera bez zastrzeżeń politykę odparcia siłą agresji komunistycznej).

Przytoczę natomiast zakończenie artykułu „The Tablet", gdyż pismo to — bodaj jako jedyne w Brytanii — łączy sprawę koreańską ze sprawą polską.

„W tym tygodniu upłynęło pięć lat — czytamy, — od chwili cofnięcia uznania rządowi polskiemu w Londynie. Być może jest to symboliczne, że ta haniebna rocznica zbiegła się niemal co do dnia z wystąpieniem wojsk amerykańskich na Korei. Pięć lat temu, w wyniku decyzji powziętej na konferencji jałtańskiej, alianci zachodni, pragnąc pozyskać współpracę Sowietów, poświęcili jedną z najżywotniejszych dla nich spraw, a co gorsza zdradzili jedną z zasad, w obronie których toczyła się wojna. Od tego czasu przekonali się, że ofiary te były daremne: Polska i połowa Europy wpadła pod władzę sowiecką i około 150 milionów ludzi należących do wspólnoty europejskiej stało się niewolnikami najgorszych wrogów tej wspólnoty. Wielkie cele z 1939 roku zdawały się zapomniane. Dwie daty — 5 lipca 1945 i 4 lipca 1950 łączą się ze sobą ściśle. Pierwsza oznacza szczyt polityki uspakajania Rosjan, druga koniec tej polityki. Pomiędzy nimi rozciąga się długa droga, która nie była dla nikogo tak gorzka jak dla naszych polskich przyjaciół. Ale dziś, analizując sytuację międzynarodową, Polacy mogą nareszcie mieć satysfakcję, że ich odwaga w roku 1945, gdy musieli iść zarówno przeciwko swoim wrogom jak i przeciw aliantom, była słuszna i że w końcu świat pojął nareszcie lekcję z tej odwagi płynącą". **St. Pał.**

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

ROZKWIT KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO W UBIEGŁYM PÓŁWIECZU

UROCZYSTOŚCI Roku Świętego, odbywające się regularnie co 25 lat, są tak dla katolików jak i innowierców bezpośrednią okazją do zastanowienia się nad postępem apostolskiej działalności Kościoła katolickiego. Świecka gazeta francuska „Le Monde" podała ostatnio rzut oka na 50 pierwszych lat działalności Kościoła w obecnym wieku i stwierdziła, że Kościół może spoglądać z wewnętrznym zadowoleniem z przebytej dotychczas drogi oraz z ufnością w przyszłość.

Od roku 1900 nie ma schizmy, nie ma herezji, o której byłoby warto mówić — pisze „Le Monde". Prawie wszystkie rządy, z wyjątkiem komunistycznych, mają swych przedstawicieli w Watykanie, podczas gdy przed pierwszą wojną światową znajdowało się tam tylko kilku ambasadorów. Wśród ruin materialnych obu wojen światowych Kościół wciąż trwa, bardziej „katolicki", niż kiedykolwiek. W. r. 1926 wyświęcono pięciu biskupów chińskich i jednego japońskiego. Pięć lat później w Paryżu otrzymuje święcenia kapłańskie Murzyn z Afryki Francuskiej. Następnie w roku 1946 do św. Kolegium, w którym Włochy tracą swą tradycyjną większość, wchodzi Chińczyk, Ormianin i Australijczyk, Stany Zjednoczone mają już więcej kardynałów niż Hiszpania, a katolików, mówiących językiem angielskim, oblicza się na 60 milionów.

Ale obok tych pocieszających perspektyw jest wiele bolączek. Świat rosyjski jest zamknięty dla misjonarzy katolickich. Ateistyczny komunizm rozszerza się na obszary tradycyjnie katolickie, likwiduje systematycznie chrześcijan obrządku wschodniego, rozpętuje walkę na śmierć i życie z jedyną siłą zdolną przeciwstawić się jego totalnemu panowaniu nad duszami i sercami. Jest wprawdzie 400 milionów katolików na świecie, lecz same tylko Chiny Mao Tse Tunga mają więcej ludności. Zresztą czy te 400 milionów są naprawdę „katolickie"? Aby wykazać słuszność tego pytania, wystarczy wskazać na kryzys powołań duchownych.

Mimo to jest prawdą, że Kościół umie dziś układać swe stosunki z Cezarem w sposób bardziej niezależny niż kilkadziesiąt lat temu. Katolicyzm jest dziś religią państwową tylko w bardzo niewielu krajach. Możnaby w nieskończoność wymieniać imiona teologów, intelektualistów, uczonych, artystów, którzy przyczynili się do tego wspaniałego dźwignięcia się Kościoła. Także instytucje klasztorne, antyteza świata współczesnego, wcale nie wpadają w dekadencję, lecz przejawiają siłę przyciągania, na którą nawet protestanci są zdumiewająco wrażliwi. Mało tego, jedną z zasadniczych cech życia religijnego w połowie bieżącego stulecia jest renesans wiary wśród osób świeckich. Pewnie, jest mniej katolików na naszym Zachodzie, lecz ci, którzy są, są prawdopodobnie lepsi. Kościół zaczyna dziś odnajdywać swe powołanie i staje się tym, czym przede wszystkim powinien być: domem ubogich.

To dążenie do odnowienia być może nie miało sobie równego od czasu Soboru Trydenckiego. I jest rzeczą charakterystyczną, że to dążenie Kościoła katolickiego do większych wymogów, większej jedności, zauważa się również u protestantów. U nich również rodzi się renensans ducha apostolskiego, rozkwit misji, pociąg do życia zakonnego. Podobne odnowienie wiary, myśli i obyczajów zachodzi także w kościele prawosławnym, mimo iż pewna część Cerkwi powróciła do roli kremlowskiego narzędzia penetracji. Mnożą się dziś różnego rodzaju konferencje ekumeniczne. Kościół katolicki nie przyjmuje dyskusji, jak by tego chciano, na stopie równości, ponieważ uważa się za jedyny prawdziwy Kościół. Jednakże, mimo niekiedy ostrych tarć, jedność stała się dziś największą troską kościołów. Islam i religie Wschodu wychodzą z izolacji i zaczynają badać nowym spojrzeniem fundamenty świata zachodniego. Czyż można się dziwić, że uległy również zmianie stosunki między chrześcijanami a żydami? Powoli znikają maski, które ukrywały prawdziwe oblicze tych religii i oddawały je w służbę celom doczesnym.

(IC)

STUDENCKI OBÓZ LETNI W PITSFORD

WOLNE MIEJSCA

Ze względu na pewne a nieprzewidziane zmiany jest jeszcze kilka miejsc wolnych dla Panów (dla Pań miejsc wolnych już nie ma) na obozie letnim Veritas w Pitsford n/Northampton. Pobyt dwutygodniowy od dnia 28 lipca b. r. Prosimy o natychmiastowe zgłoszenia pod: 21, Earls Court Sq., S.W. 5. Tel.: FRE 2551. Koszta 7 sh. dziennie: Kurs ideowy, odpoczynek w idealnym otoczeniu, rozrywki, sport.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

ŚLADAMI DAWNYCH RYCERZY

MÓJ znajomy właściciel księgarni powiedział mi, że właśnie wczoraj w La Plata był na koncercie Małcużyńskiego. Z trudem wprawdzie zorientowałam się, że to chodzi o Małcużyńskiego właśnie, gdyż księgarz wymówił to nazwisko w sposob zupełnie zniekształcony. Lecz ponieważ zachwycał się bardzo grą, musiałam mu ten błąd wybaczy.

— Wy, Polacy — rzekł księgarz — macie dobrych żołnierzy i artystów. Tylko ci ludzie mówią o Polsce cudzoziemcom.

Wracając do domu przez plac, pełen wiatru i opadających liści, myślałam o słowach księgarza. Myślałam, że oto teraz, gdy minęło pięć lat od daremnych czynów żołnierskich, cały ciężar mówienia o Polsce spada na ludzi, którzy walczą słowem i pieśnią. Tuż za placem na wysokich arkadach pięknego domu wisiały afisze z biało-czarną klawiaturą, z twarzą muzyka, z szerokim ukośnym napisem. Znałam tę twarz i znałam to nieco zniekształcone przez obcy język nazwisko: Malcuzynski. Wrócił do Argentyny niedawno ze swych wspaniałych objazdów świata, z echem koncertów, które imię Polski przypomniały — i zaraz, niestrudzony, koncertuje w Buenos Aires. Jest on tu niesłychanie popularny. Argentyna szczyci się nim, i z racji tej, że Małcużyński przybył tu i zamieszkał już w r. 1940 — uważa go niemal za część siebie. Każdy jego koncert gromadzi tłumy, a przede wszystkim Polaków. Przez radio zapowiadają go zawsze jako. „Joven pianista Polacco — młody pianista polski, który gra dla piękna i dla swej ujarzmionej ojczyzny". Biało-czerwone kwiaty, białoczerwony pas pod klawiaturą na afiszach, pieśni Szopena — to niemiknąca miłość Małcużyńskiego do Polski, której wolne imię wykwita spod jego rąk.

Emigracja polska potrafi cenić czyn Małcużyńskiego. Oto w Montevideo, stolicy Urugwaju, miała miejsce piękna uroczystość. Unia Towarzystw polskich wręczyła Muzykowi ryngraf, jaki nosili dawni rycerze, idący walczyć o świętą sprawę. Ryngraf z bronzu z wizerunkiem Matki Boskiej, z napisem Honor i Ojczyzna zawieszono na piersi Małcużyńskiego. Uznano go za rycerza wolności, za żołnierza kultury polskiej. Uroczystość ta była częścią „Homenaje a Polonia" (Akt uczczenia Polski) jaki miał miejsce w Radio Ariel pod protektoratem prezydenta Urugwaju Luis Battle Berres.

W Buenos Aires witaliśmy Małcużyńskiego skromniej, w zamkniętym gronie, w małej kawiarence — lecz wiedział chyba, żeśmy mu swe serca oddawali.

Przyjmowało Muzyka Polskie Towarzystwo Śpiewacze im. Szopena. Powstało ono pół roku temu jako Chór męski, a dziś po dużych osiągnięciach Chóru rozrosło się do wielu członków, którzy choć nie śpiewają, to wspierają go w miarę swych możliwości. Chór bierze żywy udział w życiu Polonii argentyńskiej i żadna uroczystość nie może obejść się bez jego udziału. Jeśli tak wiele wspominam tu o tym Chórze to tylko dlatego, że jest on wspaniałym obrazem tego co może dokonać dobra wola: chórzyści, robotnicy ciężko pracujący na chleb, przyjeżdżają na próby wprost z pracy zmęczeni i głodni. Jest wśród nich taki, który musi na próbę jechać dwie godziny. Tym ludziom dobrej woli, tym entuzjastom szlachetnym przewodzi niestrudzony prof. Adam Dyląg.

Oni to właśnie, chórzyści, „kapitalne chłopaki" jak ich tu zwą — zorganizowali przyjęcie dla Witolda Małcużyńskiego w małej kawiarence Blue Sky, której gospodarzem jest Krukowski.

Przeżyliśmy wszyscy moment wielkiego wzruszenia, gdy przyszedł do nas Małcużyński. Patrzyłam na niego jak schodził ku nam po schodach. Wysoki, szczupły, uśmiechał się młodzieńczo, jego ciemne, duże oczy patrzyły z dziwnym wyrazem. Ręce białe i smukłe, przezroczyste, piękne jak kwiat kalii — przykuwały do siebie wzrok. To był więc ten rycerz o bladych dłoniach, które walczyły o imię Polski. Twarz jego prześwietlona wewnętrznym pięknem i dobrem zdawała się być zapowiedzią, że świat walczący i zły nawróci się kiedyś na rzeczy ludzkie i prawdę.

A potem witały Małcużyńskiego nasze słowa proste i śpiewał dla niego Chór wiele polskich pieśni, a także ja czytałam mu swój wiersz. Słuchał uważnie wszystkiego, przechylając głowę lekko ku prawej stronie i patrząc skupionymi oczyma. Cieszyliśmy się bardzo: był wśród nas, do nas należał przez parę godzin, nasze serca ku niemu szły, aby w drobnej, malutkiej części podziękować mu za to, że walczy o Polskę, że imię Jej przez dyplomatów sprzedane, rzuca w świat — on — smukły rycerz wolności. Stał się nam od tego wieczoru bliski jak brat.

Stał się dla nas — tułaczy — uosobieniem wiary w rzeczy dobre i w to, że świat, znajdujący się niemal na krawędzi przepaści — potrafi przecież się nawrócić. Że nie jest doszczętnie zmaterializowany. Że idea coraz bardziej wypiera siłę, że nie — zmechanizowany „obywatel" Virgila Gheorgiu — lecz człowiek, człowiek o żywym czującym sercu — stanie się przyszłością świata.

Ten wieczór piękny w malutkich pokoikach emigracyjnej kawiarenki, gdy był wśród nas Małcużyński — ten wieczór, w którym budziła się w nas wiara i w którym była nam Polska, kwitnąca pieśnią — będziemy pamiętać długo.

Lipiec. 1950 r. **J. Radzymińska**

WYSTAWA POTWOROWSKIEGO

TAK się to dzieje, że mając w trudnym emigracyjnym życiu niewiele istotnego kulturalnego dorobku do podkreślenia, tak łatwo przechodzimy do porządku nad dokonaniami Polaków, którzy wyrywani, przesadzani, jak każdy z nas, umieją zachować soki żywotne, rozwijać się i mimo braku jakiejkolwiek reakcji zainteresowania, nie mówiąc już o pomocy ze strony społeczeństwa, potrafią wzbogacać je swoim dokonaniem.

Przypadkiem dowiedziałam się, że w Galerii Gimpel na South Molton Street, Piotr Potworowski miał wystawę. Udało mi się dotrzeć do Londynu ostatniego dnia jej otwarcia i przeżyć chwile rzadkiej radości.

Każdy z czternastu wystawionych przez niego obrazów jest dziełem oka różnicującego najlżejsze odcienie, by zgrać je w świat barw subtelny, harmonijny, rozkoszny.

Niektórzy mają mu za złe zachowanie radosnej wizji kolorów codziennego otoczenia. Wołają o „partycypację" malarzy w tragicznym kryzysie świata. Kierowanie do poszczególnych artystów takich zadań jest uleganiem wpływom totalitaryzmu, który nie bez skutku od trzydziestu lat szkoli i urabia ludzkości celem przykucia jej do tej czy innej galery wspólnej niewoli.

Zdaje się faktem psychologicznym, że dla człowieka, wstrząśniętego tragicznymi przejściami, świat w dosłownym znaczeniu szarzeje. Pamiętam, jak dobrze znana droga, która zwykle dawała mi pełnię radosnych przeżyć wzrokowych, wyblakła w jednostajną ponurą szarość w ciągu mej wojennej wędrówki. Nie wydaje mi się dowodem „epigonizmu" lecz zdrowej siły, gdy malarz potrafi wyzwolić się z smutku zabijającego mu barwę i wskazać innym smutnym ludziom, że np. „Drzewa za murem" nie przestały grać jakąż gamą zieleni, że w „Morskim Krajobrazie" piasek przegląda śliczną różową plamą przez lekką powłokę wody, a niebieska suknia „Pani w Hamaku" jest świetnym bo mądrze wyzyskanym powodem obrazu, centralnym punktem muzyki barw, godnej Bonnard'a.

Tym wielkim radosnym malarzem musiał zachwycić się w młodości Potworowski i z niego się rodzi pierwszymi „pastiches passionnés" będącymi według „Psychologii Sztuk" Malraux u źródeł każdego talentu. Świetny malarz francuski w żadnym razie nie oślepił lecz rozwinął oko Potworowskiego, zdolne dziś w nieskończoność kolor analizować, by zgrać go w bardzo własną syntezę. Jakość jego płócien jest jedną z najpoważniejszych pozycji w polskim malarstwie współczesnym. Dobrze jest spotkać malarza, który nie ogłuchł na kolor i wiedzą od głuchoty ratuje. Łatwo w zapamiętaniu walki o kulturę zatracić jej treść. Wysubtelniona wrażliwość na świat barw, jest jednym z najcenniejszych osiągnięć człowieka.

Jak łatwo ją zabić, wykazały dostatecznie szkoły malarskie, akompaniujące bałwochwalczo rozwojowi nazizmu i bolszewizmu. Historia sztuki rozwijającej się w narodach wolnych w najlepszych swoich okresach wykazywała różnokierunkowość artystów i ich bardzo indywidualne torowanie sobie własnych dróg. Jednocześnie żyli Greco i Breughel, jednocześnie Rembrandt i Rubens; Goya malował w tym samym okresie co Fragonard. Jak nieskończenie różne stworzyli malarstwo. Przeszły burze, co wstrząsały epokami tamtych jednodniowych ludzi: pozostało ich dzieło.

Nie dajmy się zatruć jadem współczesnym, chęcią „gleichszaltowania". Potworowski jest zbyt silną indywidualnością malarską, by go wydarzenia zewnętrzne przekształciły. Treścią jego malarstwa nie stanie się tragedia ni epopea, pozostanie nią radość mimo wszystko. Widz staje przed jego płótnami oczarowany pięknością świata i wdzięczny, bo mu wreszcie znowu przypomniano, że słońce nie przestało malować ziemi. **Teresa Skórzewska**

NA MARGINESIE

TRZECI POGLĄD

PAN Walter Lippman w zapale widzi już nie tylko powstanie na świecie czwartego mocarstwa w postaci Konfederacji Europejskiej pod egidą Francji i Niemiec, ale twierdzi, że jej powstanie uniemożliwi trzecią wojnę. Politbiuro musiało się uśmiać. Pisarz amerykański natomiast dał świetną charakterystykę trzech kierunków w opinii brytyjskiej w odniesieniu do planu Schumana.

Prostolinijny Attlee nie chce brać udziału w rokowaniach, bo projekt odrzuca. Dalton reprezentuje odłam labourzystów pragnących uniemożliwienia realizacji planu ze względów doktrynalnych. Stąd brunatna broszura labourzystów, która tyle hałasu narobiła. Wpływy Daltona wśród socjalistów niemieckich i francuskich zużyte będą w celu zniweczenia planu francuskiego.

„Jest jeszcze, pisze Lippman, trzeci brytyjski pogląd w tej sprawie. Polega on na wzięciu udziału w rokowaniach i takiego nimi pokierowaniu by związek, który powstanie, miał charakter platoniczny. Chodzi o uniemożliwienie w ten sposób Unii Europejskiej, w której W. Brytania nie może wziąć udziału".

Nie trudno się domyślić, kto tej trzeciej grupie patronuje. Ci sami, którzy ideę Unii Europejskiej najzagorzalej propagowali i propagują.

14 CHUSTEK I JEDEN PORTRET

BYŁO niedawno w Polsce 80.000 Żydów. Z tej ilości zgłosiło chęć wyjazdu do Palestyny 50.000. Z tego już wyjechało 12.000 osób. Reżym warszawski jest bardzo niezadowolony z tego owczego pędu, który dowodzi braku entuzjazmu dla Ludowych Demokracji. Czynione są obecnie dla wyjazdu różne utrudnienia. Ograniczona została waga bagażu. Trzeba przed wyjazdem zrzec się polskiego obywatelstwa. Można wywieźć w walucie tylko £ 70. Wreszcie zabroniono zabrać z sobą więcej, niż 14 chustek do nosa. Zastosował się widocznie do przepisów i wyjechał Dr Arnold Berman b. prezes Centralnego Komitetu Gmin Żydowskich w Polsce. Jest to brat Jakóba Bermana, członka polskiego Politbiura i prawej ręki Bieruta. Co tego spłoszyło?

Krążą o wyjeżdżającym Żydzie doskonała anegdota. Wiezie on z sobą skrzynię z portretem Bieruta. Na komorze celnej pytają się go, dlaczego ten portret z sobą zabiera. Emigrant żydowski odpowiada:

— Bo ja wiem, że będą płakał z tęsknoty za Polską.

— To i cóż? — nastaje urzędnik celny, co ten portret panu pomoże?

— Widzi pan, tłumaczy Żydek, jak ja na niego popatrzę, to zaraz przestanę płakać.

TO TEŻ ARGUMENT

WSZYSCY się boją w Zachodnich Niemczech uderzenia na wzór koreański ze strony Wschodnich Niemców. P. McCloy W. Komisarz amerykański pragnął ludność uspokoić, ale osiągnął wręcz przeciwny skutek. Zaczął od tego, iż powiedział „że to, co się stało w Korei, czyni atak na Zachodnie Niemcy mało prawdopodobny". Ale następnie dodał: „Jeżeli wykażemy słabość, to agresja w Niemczech stanie się prawdopodobna". Tymczasem komunikaty wojenne są mało pocieszające. Pan McCloy sięgnął wtedy do niezawodnego jak myślał argumentu, bo oświadczył, iż sprowadził niedawno ze St. Zjednoczonych matkę, staruszkę mającą lat 86. Można sobie wyobrazić co nastąpi, jeśli matka Wysokiego Komisarza zechce wrócić do Stanów Zjednoczonych.

PECH I SZCZĘŚCIE

CZWARTEGO lipca w dzień „Święta Niepodległości" na amerykańskim obiedzie, urządzonym w hotelu Dorchester, przemawiał p. Winston Churchill „To był prawdziwy pech, oświadczył on, by po Mussolinim i Hitlerze, po faszyźmie i nazizmie, natknąć się na Stalina i komunizm".

Nic by nas nie zdziwiło, gdyby obecnie na Kremlu Stalin mrugając do Mołotowa powiedział: „Mieliśmy szczęście, że po Hitlerze natknęliśmy się na takiego Roosevelta i Churchilla". X.Y.Z.

NOTATKI

UNIWERSYTET DLA EMIGRACYJ

NA berlińskim kongresie wolności kultury Józef Czapski wystąpił z projektem utworzenia uniwersytetu dla młodzieży Środkowej Europy, przebywającej na Zachodzie. Wnioskodawca podkreślił, że nie będzie to rzeczą łatwą ani tanią, ostatecznie jednak tańszą — stwierdził — niż jedna bomba atomowa. Wniosek znakomitego malarza i pisarza został przyjęty w atmosferze entuzjazmu.

Czy zostanie zrealizowany? — Nie wiadomo. Jest jednak pytanie: czy „opłaciłby" się ogromny trud imprezy?.

Zeszłego roku prof. Halecki powiedział w Londynie pod adresem naukowców polskich na emigracji usprawiedliwiających swą bezczynność wymówką o braku źródeł. — „A ja pamiętam, jak to przed tą wojną wzdychaliśmy w kraju: — Ba! ile to można by zrobić, gdyby się było zagranicą i miało dostęp do zagranicznych źródeł! Jesteśmy teraz przy tych źródłach"...

Mówiono też: gdyby nasza młodzież mogła kończyć zagraniczne uniwersytety?!

Prawdę mówiąc: może kończyć. I dzięki Bogu, że kończy. Nie wydaje się szczególnie roztropny pomysł, chociaż jest po polsku demonstracyjnie efektowny, aby tworzyć jeszcze jedno ghetto i jeszcze jeden płot przedziału i podziału. Uniwersytet taki miałby powstać „gdzieś w Europie". — Kto miałby na nim wykładać? Doświadczenia z narodowościowywymi uniwersytetami w Niemczech — bałtycki, ukraiński, nie są najświetniejsze. Czapski mówi, że oprócz profesorów z krajów środkowo- europejskich byliby powoływani uczeni zachodni. Czyż nie łatwiej i lepiej korzystać z tych uniwersytetów, na których ci uczeni już wykładają? i starać się natomiast, aby polscy naukowcy mieli możność wykładać na tych uniwersytetach, posiadających bogatą tradycję i znakomicie zaopatrzonych w pomoce naukowe. Cóż dałoby studentom Zakurtynia — pomijając już trudną do rozwiązania sprawę mieszkań, utrzymania etc.— kończenie uczelni, zaimprowizowanej i wiszącej w powietrzu? Czyż nie lepiej stosować metodę PKSU Veritas? A polega ona na tym, aby w różnych krajach na istniejących uniwersytetach wyjednywać pewną ilość pełnych stypendiów dla młodzieży. Metoda ta daje dobre rezultaty. Nie czyni też z młodych polskich inteligentów rarogów, lecz pozwala poznawać pełny nurt kultury europejskiej i kultury danego kraju.

Może natomiast warto by pomyśleć o czymś innym, o czym była mowa na Radzie Naukowej przy Zjednoczeniu Polskim w Londynie: wystarać się o fundusze na ośrodek korespondencyjny na poziomie uniwersyteckim, który młodzieży polskiej studiującej na obcych uniwersytetach rozsyłałby dodatkowo skrypta wykładów z kultury polskiej? To samo mogłyby zrobić inne narody Zakurtynia.

(jt)

W ROCZNICĘ ŚMIERCI GEN. W. SIKORSKIEGO

Z OKAZJI rocznicy tragicznej śmierci gen W. Sikorskiego odbyło się w Instytucie Historycznym jego imienia uroczyste zebranie, w czasie którego b. amb. E. Raczyński odczytał swoje — naogół już znane — zapiski dotyczące wizyty polskiego Naczelnego Wodza w W. Brytanii w dniach 18—20 czerwca 1940 r., a gen. prof. Marian Kukiel mówił o ewakuacji wojsk polskich z Francji i odbudowie ich na tej wyspie. Przewodniczył prof. St. Stroński, który podzielił się z zebranymi informacjami na temat wypadków sprzed kapitulacji Francji.

Gen. M. Kukiel w swym referacie podkreślił silnie ówczesną gorliwość Brytyjczyków w pozyskaniu polskiego rekruta, zanalizował liczbowe stany różnych rodzajów broni P. S. Z., które znalazły się w Szkocji po kampanii francuskiej i rozważane wówczas możliwości uzupełnienia tego, przesyconego ponad wszelką miarę oficerami, wojska. Okazuje się, że już wówczas gen. Sikorski w notatce złożonej Churchillowi zwrócił uwagę na przebywanie w Rosji około 300.000 Polaków, którzy w razie popsucia się stosunków rosyjsko-niemieckich stanowić będą bardzo poważny rezerwuar uzupełnień dla wojska polskiego. W notatce swej premier zaznaczył, że w każdym razie przy ewentualnym układaniu się z Rosją wszystkie prawa Rzeczypospolitej Polskiej musiałyby być zagwarantowane. W owym czasie pomysły czerpania nowych sił ludzkich z Rosji wydawały się wielu politykom wprost fantastyczne, choć zarówno Sikorski, jak Churchill liczyli się poważnie z przyszłym konfliktem Stalina z Hitlerem.

Jeśli chodzi o postawę gen. Sikorskiego w rozmowach z Anglikami, to gen. Kukiel wyraził się, że polski premier nigdy nie zginał się w pokłonie, a czasem był „zbyt dumny" i wprawiał prelegenta (wówczas ministra spraw wojskowych) w zakłopotanie. Odczyt prof. Kukiela miał charakter wspomnieniowy.

Taki charakter nadano polsko-brytyjskiemu zebraniu rocznicowemu, odbytemu także w lokalu Instytutu w dzień później w obecności Prezydenta A. Zaleskiego i rządu. Ze strony brytyjskiej był obecny i przemawiał lord kanclerz Jowitt. Ambasadę amerykańską reprezentował radca Bruins. Przybyli także: Sir J. Anderson i lord Elgin.

(sp)

WIECZÓR ZWIĄZKU PISARZY

DNIA 29 ub.m. w sali Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego w Londynie odbył się zbiorowy wieczór autorski, urządzony staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Była to druga tego typu impreza w bieżącym sezonie.

Tym razem w programie wzięło udział dziesięciu autorów — po połowie poeci i prozaicy. Takie „masowki" literackie, jakkolwiek nie dają żadnemu z występujących pisarzy możności zaprezentowania w pełni swego oblicza twórczego — mają jedną niewątpliwie zaletę: dają słuchaczowi przegląd bieżących osiągnięć literackich. Jest to jakby mówiony magazyn literacki — „dodatek nadzwyczajny" do pism, które pochłonięte rozległą problematyką naszego życia, nie są w stanie udzielać piśmiennictwu artystycznemu zbyt wiele miejsca. Zresztą poezja pełne swe brzmienie uzyskuje tylko w głośnym czytaniu. Występujący pisarze sami odczytywali swe utwory z dwoma tylko wyjątkami: wiersze Zofii Bohdanowiczowej b. interesująco zinterpretowała Romana Pawłowska, dwa krótkie opowiadania Janusza Kowalewskiego odczytali Lena Zelwerowicz i Józef Orchoń. Podkreślić trzeba czystość ekspozycji głosowej Leny Zelwerowicz, jej pozbawiony efektu ale rzetelny kunszt artystyczny.

Poza wymienioną autorką w wieczorze wzięli udział następujący poeci: Marian Czuchnowski, Jan Olechowski i Józef Żywina. Prozę — oprócz Kowalewskiego — reprezentowali: Ferdynand Goetel, Janusz Jasieńczyk, Ryszard Kiersnowski, Michał Pawlikowski i Wit Tarnawski, przy czym Goetel odczytał fragment dramatu historycznego o Władysławie IV.

Wieczór Związku Pisarzy przekonał publiczność londyńską, że nawet ci autorzy, których nazwiska rzadko się widuje w pismach, pracują nad wzbogaceniem dorobku, zarabiając na życie nierzadko jako robotnicy. Może by warto było, aby któreś z większych skupisk polskich poza Londynem pomyślało o zorganizowaniu podobnej imprezy u siebie?. Był okres, kiedy poeci jeździli jak się to mówi „w teren", dając słuchaczom wzruszenia artystyczne nieosiągalne na innej drodze. Może by warto pomyśleć o wznowieniu tej niesłusznie zapomnianej tradycji?

J.

POWIEŚĆ J. GIERTYCHA ODDANA DO DRUKU

Donosimy, że p. J. Giertych, powierzył druk swej powieści „W Polsce między wojnami" drukarni Veritas. Druk zostanie rozpoczęty dnia 28 lipca. Książka ma być gotowa do rozesłania czytelnikom do dnia 22 października, należy się jednak liczyć z możliwością niewielkiego opóźnienia.

Do soboty dn. 8 lipca napłynęło 874 prenumerat, z czego 539 z Wielkiej Brytanii, 159 z innych krajów europejskich, 140 z Ameryki, 23 z Afryki, 10 z Australii i 3 z Azji.

W związku z tym, przedpłata po cenie ulgowej zostaje przedłużona i trwać będzie przez cały czas, gdy książka się drukuje.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

MIĘDZYNARODOWY „EISTEDDFOD" MUZYCZNY

W Llangollen, w jednej z dolin północnej Walii odbył się świeżo czwarty z rzędu międzynarodowy „Eisteddfod" muzyczny. Słowo to oznacza doroczny zjazd „bardów" walijskich, połączony z zawodami w zakresie poezji i muzyki. W r. 1946 po raz pierwszy zawody te postanowiono rozszerzyć na zespoły zagraniczne. W roku bieżącym uczestniczyli w nich zawodnicy z dwunastu narodów europejskich. Były m. in. chóry z Włoch, Hiszpanii, Holandii i krajów skandynawskich, a nawet z Węgier. Popisywali się też tancerze hiszpańscy i innych krajów.

Poziom międzynarodowych „Eisteddfodów", początkowo z konieczności niezbyt wysoki, poprawia się z roku na rok i impreza ta stała się czymś jedynym w swoim rodzaju w Wielkiej Brytanii. Dyrektorem muzycznym „Eisteddfodu" jest W. S. Gwynn Williams kompozytor i wydawca walijski, a sekretarką generalną pani Mona Davies.

Fragmenty zawodów transmitowane były w tym roku przez BBC.

PROF. TAYLOR O EUROPIE

Ukazała się z druku nowa książka A. J. P. Taylora, zdolnego historyka oksfordzkiego pt. „From Napoleon to Stalin". (Hamish Hamilton, cena 12 s. 6 d). Jest to zbiór szkiców i artykułów prof. Taylora, które pojawiły się w szeregu czasopism, a dotyczą różnych okresów i aspektów nowoczesnej historii Europy. Wiele wśród nich niewątpliwie jest bardzo interesujących; pisane są zawsze żywo i z zacięciem

Sprawy polskie poruszone są m. in. w artykule o wrocławskim „kongresie intelektualistów", (który ukazał się poprzednio w „Manchester Guardian". Taylor, jak wiadomo, przeciwstawiał się projektowi rezolucji, przedstawionej na kongresie przez komunistów. Równocześnie jednak w artykule swym wypowiada się stanowczo na rzecz uznania granicy Odry i Nisy Łużyckiej przez Wielką Brytanię.

Nie wspomina o tym autor recenzji o książce Taylora, która ukazała się w „Times Literary Supplement" z dn. 7 lipca. Recenzent, niechętnie usposobiony do Polski, uwydatnia natomiast specjalnie uwagi Taylora, dotyczące stanowiska Czech i Polski w krytycznych dniach r. 1938 i 1939.

Zdaniem Taylora układ monachijski przypieczętował w swych następstwach upadek liberalizmu w Europie. Jeśli liberalna doktryna samostanowienia narodowego była słuszna, to Hitler miał rację, domagając się Sudetów — i w tym popierało go wielu liberalnie myślących Anglików. Nawet na zachowanie się Czechów tradycje liberalne miały wpływ rozstrzygający. Przywódcy czescy, przede wszystkim Benesz, byli ludźmi targów i dyskusji: mogli oni manewrować i unikać zderzenia, nie potrafili jednak stawić czoła i zginąć.

W rezultacie nie Czesi, ale „nieliberalni" przywódcy polscy, nie Benesz, ale Beck, „człowiek nieskończenie niższego kalibru moralnego", dali sygnał do upadku Hitlera.

Z tych samych przyczyn — dodaje od siebie anonimowy recenzent — „liberalna Brytania biła się z Hitlerem nie o demokratyczną Czechosłowację ale o wsteczną (retrograde) Polskę".

Nie trzeba oczywiście wykazywać słabych stron tych twierdzeń.

O BISMARCKU

Pojawiła się skrócona wersja trzytomowej monografii Ericha Eycka o Bismarcku („Bismark and the German Empire", Allen and Unwin, cena 18 s.).

Eyck uważa Bismarcka za jednego z największych mężów stanu XIX stulecia, zarazem jednak za człowieka pozbawionego zupełnie zmysłu moralnego i wyczucia wielkich prądów duchowych, takich jak katolicyzm, socjalizm, nacjonalizm, a nawet zwykłych potrzeb społeczeństw ludzkich.

ZYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Publication Centre. Adres redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17 — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. Prenumerata płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed". wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: Mgr. Bożysław KUROWSKI. Anggatan 6 c. Lund. Sverige. Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. ARGENTYNA: kwartalnie 12 peso półrocznie 24 peso. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires. SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: PKSU VERITAS, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2.

Praed Mews, London W. 2. Tel. PAD. 9734. Printed by: „Veritas Foundation Press" 12.